



Rysunek wykonany przez Nikę (za co bardzo dziękuję)

Miłość, diament i demony [Anthro][Steampunk][Weird West]

Autor: Sun

Korekta: GrentoYTP

Ostatnio robiłem małe porządki na półce z książkami i notatkami i znalazłem tam pozycję, która wywołała uśmiech na mej twarzy. Była to trzecia część „Wypraw Shining Armora”. Z dedykacją i podziękowaniami: „...dla młodego przyjaciela, który pomógł mi, kiedy tego potrzebowałem”.

Cóż, być może nie wiecie, ale jestem autorem jednej z trzech wypraw opisanych w tej właśnie książce. Dokładnie tak, nie przeszłyszeliście się. Miałem okazję zastąpić niezrównanego Cloverleafa podczas jednej z podróży, obecnie już księcia Shininga, i zostać kronikarzem. Jak mi się to udało? Cóż, nie będę ukrywał – miałem szczęście. Sporo szczęścia. Szczęścia, które pozwoliło mi się znaleźć w odpowiednim miejscu, o odpowiedniej porze.

Było to kilka miesięcy po jednym z napadów Wrednej Szóstki. Chyba tym na dylizans do Rock Well. Akurat przyjechałem do Canterlotu, poszukać trochę informacji o Białej Damie w publicznych rejestrach pałacowej gwardii. Musicie wiedzieć, że policja i gwardia pałacowa w Canterlocie nie zawsze dzielą się ze sobą informacjami o tym, co się dzieje na ich „terenach”. W koszarach spotkałem Shining Armora, będącego wtedy głównym dowódcą straży księżniczki Celestii.

Nie powiem, dowiedziałem się wtedy od niego kilku ciekawych rzeczy o Białej Damie. Nie wiem, czy nie najważniejszych. Ale o tym kiedy indziej wam opowiem. Zwłaszcza że jeszcze kilku informacji mi brakuje, bym mógł złożyć z tego jej historię. A raczej to, co wydaje się być jej historią, bo ta postać jest niesamowicie... zagmatwana i pełna sprzecznych informacji. Powiem szczerze, że przy niej historia Fluttershy zdaje się być prosta i oczywista.

Tak czy inaczej, podczas tamtej rozmowy dowiedziałem się, że Shining Armor miał pewien problem. Otóż jego kronikarz i pisarz, który jeździł z nim na wszystkie wyprawy, złamał rękę i Shining potrzebował kogoś na zastępstwo. Oczywiście natychmiast zaproponowałem mu swoje „usługi”. Kapitan najpierw się zaśmiał serdecznie i chciał mnie odesłać z kwitkiem, ale pokazałem mu wywiad dla gazety kolejowej, który zrobiłem z pasażerem. Nie wiem, czy to bardziej to, czy mój entuzjazm, ale kapitan zgodził się na moją propozycję. Oczywiście pod kilkoma warunkami.

A jako że książka już została wydana, a kapitan Shining Armor został szczęśliwym księciem Shining Armorem, to jestem zwolniony z większości warunków i mogę wam opowiedzieć, jak przebiegła jego wyprawa po wielki diament, który ofiarował księżniczce Cadance, gdy się jej oświadczał. A muszę wam

powiedzieć, że to była naprawdę dziwna historia i gdybym sam w niej nie uczestniczył, to bym pewnie nie uwierzył.

A czy różni się od wersji książkowej? Cóż, to będziecie musieli ocenić sami.

Naszą wyprawę rozpoczęliśmy w Canterlocie, z którego wyjechaliśmy pociągiem. I od razu muszę wspomnieć, że podróż w towarzystwie kapitana canterlockiej gwardii pałacowej to prawdziwy luksus. Nasza trójka miała dla siebie cały sześćosobowy przedział pierwszej klasy.

Właśnie, trójka. Shining Armor zabrał na wyprawę swojego najlepszego przyjaciela i wiernego kompana z wojska; Moonbowa. Poznali się, gdy oboje służyli w jednej jednostce przy granicy z Mrreksykiem. To był burzliwy okres, więc mogli zbudować swoją przyjaźń w czasie walk. Ta przyjaźń jest o tyle ciekawa, że Moonbow jest zebroquestriańczykiem. I choć mogą oni służyć w wojsku, a nawet, mimo niechęci dowództwa zdobywać stopnie podoficerskie, to dalej są ograniczeni do głównie zebroquestriańskich oddziałów. Mieszanych oddziałów jest niewiele. Nie ma też zbyt wielu przyjaźni wśród sfer oficerskich, więc na młodego kapitana bardzo krzywo patrzono z tego powodu. Ale on się tym nie przejmował. To była prawdziwa przyjaźń ponad podziałami. Taka, o której czyta się w książkach (nie tylko tych o wyprawach Shining Armora). Choć nie będę ukrywał, Moonbow miał pewien uraz do kolorowych jako całości.

Wracając do wagonu, podróż pierwszą klasą była sama w sobie niezłą „przygodą”. Mieliśmy sześć wygodnych, dobrze wyprofilowanych foteli obitych miękką i delikatną beżową skórą. Na środku stał nieduży dębowy stół. W oknie wisały ciężkie, brązowe zasłony. Ponadto, na końcu wagonu znajdował się przedział bufetowy, gdzie na pasażerów czekało kilka mosiężnych samowarów z wyborem najlepszych herbat oraz błyszczący parowy ekspres do kawy. Do tego przekąski. Od pokrojonej w słupki marchewki w ziołach, przez opiekane na świeżo kanapki, aż po słodką szarlotkę z chrupiącym spodem. I oczywiście wszystko w cenie biletu. Wprawdzie nie wiem, ile taki bilet kosztuje, ale chyba nie chciałbym wiedzieć.

Jakby tego było mało, wagon miał chyba zupełnie inne osie, czy coś, bo nie było czuć ani jednego wstrząsu. Nie było też słycać charakterystycznego *tutut-tutut* na łączeniu szyn. Dosłownie czułem się, jakbym siedział w saloniku, w domu jakiegoś przemysłowca albo może bankiera, a nie w wagonie pociągu jadącego kilkadziesiąt mil na godzinę.

Dobrze zaopatrzeni w herbatę, spędzaliśmy podróż w naszym przedziale. Moonbow czytał książkę kupioną na stacji, Shining patrzył przez okno na mijane pola, a ja opisywałem nasz pociąg.

– Co tam opisujesz? – spytał mnie Shining, odwracając głowę.

– Nasz przedział i nasz pociąg – odpowiedziałem, zatrzymując ołówek. Nie będę ukrywał, jest wygodniejszy od pióra, jeśli chodzi o sporządzanie szybkich notatek i takich tam. Owszem, można go rozmazać, ale kleksa zrobić dużo łatwiej. – Wielu czytelników nigdy nie podróżowało pierwszą klasą i pewnie chętnie się dowie, jak to jest. A w twoich poprzednich „Wyprawach” Cloverleaf nigdy nie wspominał o tym, jak docieracie w pobliże celu. Zaczynaliście zazwyczaj na stacji końcowej.

– Interesujące spostrzeżenie – przyznał. – Ale zazwyczaj nie jeździmy pierwszą klasą, tylko zwykłą, drugą. I pewnie teraz też byśmy jechali, gdybym nie dostał drobnego wsparcia od samych księżniczek. Ale tego się pewnie domyśliłeś.

– Tak szczerze to nie. Spodziewałem się raczej, że tak właśnie podróżuje kapitan gwardii pałacowej – przyznałem, nieco zaskoczony. – W końcu to szef ochrony samych księżniczek.

– Cóż, wbrew pozorom kapitan pałacowej gwardii nie zarabia aż takich kokosów, jak się mówi. Nie wiem nawet, czy zarabiam połowę tego, co się mówi. Ale ta służba to wielki zaszczyt i przywilej – odpowiedział, co skrzętnie zanotowałem. – Choć nie mogę jednak powiedzieć, bym był źle opłacany – dodał i zaśmiał się. – Po prostu nie aż tak.

– Zatem mam szczęście. Pierwszy raz mam okazję jechać pierwszą klasą i zapewne ostatni – przyznałem. – A co ty myślisz o tym, Moonbow? – zapytałem milczącego dotychczas zebroequestiańczyka.

– Jest wygodnie – stwierdził, podnosząc wzrok znad książki. – Ale trochę za wygodnie. Moje pasiaste plecy nie przywykły do takich luksusów. Zresztą, trochę się dziwię, że mnie tu wpuścili, a nie kazali jechać w bagażowym.

– Aha – dodałem, to również zapisując. Domyślam się o co mu chodziło, ale nie chciałem wtedy toczyć dyskusji o stosunku do pasiastych. Poza tym, pewnie nie chcielibyście o tym słuchać pół wieczoru.

– Zawsze jeździ pan na swoje wyprawy pociągiem? – zapytałem, patrząc na Shininga.

– Nie musisz mi *Panować*, chłopcze – zaśmiał się serdecznie. – Nie jestem teraz kapitanem straży pałacowej, tylko przyjacielem. I nie, nie zawsze. Zdarzało nam się już jechać omnibusem, płynąć barką, a także raz jechać w wozie sprzedawcy kas fiskalnych i pianin.

– Pamiętam tego gościa – wtrącił Moonbow. – Nigdy wcześniej nie myślałem, że można tak długo opowiadać o kasach sklepowych i przy tym nie przynudzać. Choć Cloverowi się chyba nie podobało.

– Fakt, co kwadrans pytał czy daleko jeszcze.

Oboje zaśmiali się, a ja dołączyłem do nich. Nie przez grzeczność, a raczej dlatego, że byłem sobie w stanie tą scenę wyobrazić.

I tak rozmawiając o wszystkim i o niczym dotarliśmy do Coltshire. Sporo się dowiedziałem na temat Shininga, choć muszę przyznać, że niechętnie wspominał o rodzinie i jak tylko zbliżałem się do tematu Twilight, zaraz zmieniał temat. Ewidentnie jej życie nie było mu w smak. Aczkolwiek, nie wydaje mi się, żeby to jakoś wpłynęło na jego karierę. W końcu kapitan pałacowej straży to bardzo zaszczytna funkcja.

W Coltshire przesiedliśmy się na pociąg do Woodpecker. Ty razem już drugiej klasy, bo pierwsza na tej linii nie jeździła. Zresztą, to i tak lepsze niż trzecia. Na całe szczęście dużo pasażerów nie jechało, więc było całkiem luźno. Aczkolwiek tu już Shining nie był rozmowny. Kupił na stacji miejscową gazetę i utonął w lekturze. Moonbow też nie powiedział mi zbyt wiele. Poświęciłem więc ten czas, by przygotować wstępną wersję początku.

Po dwóch godzinach jazdy dotarliśmy na miejsce i mym oczom ukazało się bardzo interesujące miasteczko. A w zasadzie wioska, bo Woodpecker nie ma praw miejskich. Tak czy inaczej, pociąg zatrzymał się przy drewnianym dworcu zbudowanym na skraju Woodpecker. Było z niego widać boczną linię torów, odchodzącą w kierunku lasu, oraz dach budynku będącego zapewne tartakiem albo czymś w tym rodzaju. Woodpecker słyneło z drewna. Choć może „słyneło” to zbyt wielkie słowo. Po prostu to było jedno z niewielu miasteczek, z którego drewno jechało dalej.

Od dworca odchodziła szeroka, ubita droga, rozdzielająca to ciekawe miasteczko na dwie części. Po jednej stronie był sklep, saloon, i cyrulik, a po drugiej sklep z ubraniami i kapeluszami, biuro szeryfa, więzienie oraz kuźnia. Za nimi luźno rozrzucone były domy, farmy i jakieś inne zabudowania. W powietrzu dało się słyszeć odległy gwar wymieszany z odgłosami krów i świń. Tak na oko, to mieszkało tu kilkadziesiąt rodzin. Teraz się to pewnie zmieniło.

Jeśli chodzi o samą zabudowę, to nic specjalnego. Budynki solidne, ale nie wyróżniały się w zasadzie niczym. Drewniane domy, drewniane szyldy na łańcuchach

nad drzwiami, drewniane stodoły i zagrody... W zasadzie wyglądało jak każde inne małe, młode miasteczko. Drewno, spokój i bardzo okazjonalne napady.

Wzięliśmy nasze nieliczne bagaże i ruszyliśmy w stronę sklepu wielobranżowego. Shining stwierdził, że nie ma sensu wozić wszystkich zapasów z Canterlotu, tylko lepiej kupić na miejscu. Nie będzie trzeba nosić, a poza tym powinno być taniej. Z mojego doświadczenia wiem, że nie zawsze tak jest. Canterlot owszem jest miastem dla bogaczy, ale nie w takim stopniu jak małe miasteczko, w którym jedyny sklep prowadzi chciwy spekulant. Na szczęście nie tym razem.

– Dzień dobry – powiedział na nasz widok, stojący za kontuarem handlarz. – Czym mogę służyć?

– Witam – odpowiedział Shining, rozglądając się. – Co pan ma z konserw?

– Fasolkę, gulasz, zupę dyniową i wołowinę – odpowiedział sprzedawca, wskazując na nieco zakurzony regał za swoimi plecami. Widocznie mało kto tu kupował konserwy. Z drugiej strony, był jakiś wybór.

– To poproszę trzy puszki fasoli.

Przyznam, że byłem zaskoczony wyborem Shining Armora, ale później dowiedziałem się od niego, że jeśli kupować konserwy w obcym sklepie to najlepiej fasolkę. Najmniej się psuje. I za wszelką cenę unikać mięsa, chyba że od zaufanego producenta. Podobno zdarza się nawet przysłowiowy pies zmielony razem z budą.

– A chleb?

– Macie szczęście, został mi jeszcze jeden – oznajmił sprzedawca, wyciągając spod lady ładny, świeży chleb. – Zazwyczaj o tej porze już nic nie mam. Skąd jesteście?

– Z Canterlotu – odpowiedział Shining, rozglądając się po półkach. Sam też się rozejrzałem, ale sklep nie różnił się specjalnie od innych sklepów, jakie widziałem w innych małych miasteczkach. Głównie narzędzia i niepsujące się towary. A wszystko pokryte delikatną warstwą kurzu i pyłu.

– Podobno przepiękne miasto. Chciałbym tam kiedyś pojechać z żoną.

– Warto. Wielu mówi, że Canterlot wygląda trochę jak miasto z bajki. Zwłaszcza zamek księżniczek, który też można zwiedzić w środku. Powiedz, Moon, potrzebujemy czegoś jeszcze? – spytał, spoglądając na Moonbowa, który z nudów oglądał narzędzia ogrodnicze.

– Whisky – odpowiedział bez namysłu.

Shining spojrzał na półkę zastawioną butelkami i westchnął z niezadowoleniem.

– Nie mają tu twojej ulubionej.

– Weź cokolwiek. Przyda się, jak zostaniesz ranny – zaśmiał się Moonbow, podchodząc do lady. – Jak pod Grappą.

– Bardzo śmieszne – skwitował Shining, a sprzedawca w tym czasie postawił na ladę nie najczystsza butelkę z brązową cieczą.

Nie jestem jakimś koneserem czy specem, ale miałem wrażenie, że to nigdy koło prawdziwej whisky nie stało. Z drugiej strony, do oczyszczenia ran powinna być mocna, a nie smaczna.

– Pat, masz jakieś pomysły? – zapytał mnie Shining.

– Może marchewki albo jabłka – zaproponowałem.

– Słusznie chłopcze, świeże witaminy to dobry pomysł.

Sprzedawca jak na zawołanie dołożył na blat pęczek ładnych, pomarańczowych marchewek. Nawet opłukanych.

– Dobra, chyba mamy wszystko – stwierdził Shining. – Potrzebujemy jeszcze przewodnika.

– Mogę zapytać, po co wam przewodnik? – zainteresował się sprzedawca. – Tu w zasadzie nie ma co oglądać. Choć kiedyś był tu taki jeden, który zachwycał się naszym ratuszem, że niby wyjątkowa mieszanka stylów. Ale ratusz to bez problemu znajdziecie. To największy budynek w mieście. Na końcu ulicy.

– Chcemy wyruszyć w samo serce lasu, by zapolować na patykwilki.

Sprzedawca spojrzał na niego przenikliwie. Wtedy uświadomiłem sobie, że z naszej trójki tylko Moonbow miał strzelbę i przewieszony przez pierś pas z amunicją. Owszem, Shining miał rewolwer, ale nikt nie będzie go traktował jako broni myśliwskiej. Ja miałem w kieszeni rewolwer, o którym nikomu nie powiedziałem, ale był tak mały, że patykwilk prędzej by pękł ze śmiechu, niż padł od jego kuli.

– W takim razie, radzę wam poszukać myśliwego Trzy Pióra w Ogonie. Jak się pewnie domyślacie, jest Indianinem. Mieszka w wiosce, pięć mil na wschód od Woodpecker. Może będzie skłonny was oprowadzić. Ma przed domem totem z głową orła i pewnie rozpiętą skórę czegoś, co niedawno upolował. Na pewno traficie.

– Macie tu wioskę Indian? – wtrącił się zdziwiony Moonbow. – I nie atakują was?

– Nie. Powiem więcej, są bardzo przyjaźni i dobrze nam się mieszka po sąsiedzku. Więc muszę was ostrzec, że jeśli coś wywiniecie i jakoś ich wkurzycie, to będziecie mieć też do czynienia z całym miasteczkiem – ostrzegł sprzedawca, mierząc nas wzrokiem.

– Spokojnie, nie jesteśmy z takich – odpowiedział Moonbow, uśmiechając się serdecznie. – Zresztą, ja sam wiem co nieco o kiepskich relacjach z Equestriańczykami.

– Dziękuję – powiedział Shining, ucinając temat. Następnie zapłacił sprzedawcy i wyszliśmy, ruszając do wioski Indian.

Dotarcie do wioski Indian zajęło nam półtorej godziny nieprzerwanego marszu. Trafiliśmy bez trudu, bo od miasteczka odbiegała prosta jak strzała droga, wydeptana w trawie setkami kopyt. Nic dziwnego, skoro mieszkańcy ochoczo handlowali z tubylcami i wzajemnie. Zresztą, po drodze minęło nas kilka osób, pozdrawiając serdecznie.

Sama wioska okazała się leżeć w urokliwej, niezbyt głębokiej i płaskiej dolinie, porośniętej zieloną trawą. Nie wyglądała jednak jak to, co nam się kojarzy z indiańską wioską. Hybusha nie budują znanych wam tipi, lecz coś w rodzaju kopców. Z zewnątrz wyglądają jak obrosnięte trawą pagórki z wejściem wykopanym od jednej strony. Jednak po wejściu do środka można zobaczyć konstrukcję ze splecionych gałęzi podpartych grubymi pniami, którą obłożono ziemią i obsiano trawą. Patrząc ze szczytu wzgórza, wyglądało to albo jak pełen kurhanów cmentarz, albo jak jakieś pryszcze na zielonej skórze Equestrii. Wiem, że to niezbyt miłe porównanie, ale akurat to mi się wtedy skojarzyło.

– Nie wygląda jak wioska Indian – mruknął Moonbow, gdy przystanęliśmy obejrzeć teren.

– Dla mnie wyglądają jak Indianie – odpowiedziałem. – I mają totem na środku. Całkiem spory.

– Poza tym, co to by niby miało być? – dodał Shining, ruszając przed siebie. – Podobno ci Indianie są przyjaźni, ale lepiej bądźmy czujni. Jakby coś się stało, Pat, to spróbuj się nie wychylać. Ja i Moonbow będziemy osłaniać odwrót.

– Dobrze – potwierdziłem bez przekonania. Byłem pewien, że skoro sprzedawca w tamtym sklepie nas nie ostrzegł przed Indianami, a nawet ich bronił, to muszą być naprawdę pokojowo nastawieni. Poza tym ucieczka przed wściekłą wioską wydawała mi się mało wykonalna. Dalej wydaje mi się mało wykonalna, choć słyszałem o wielu dziwnych rzeczach.

Zeszliśmy do wioski nieniekajeni przez nikogo. Jej mieszkańcy nawet specjalnie nie zwracali na nas uwagi. I nic dziwnego, bo nie byliśmy tu jedynymi Equestriańczykami. Przy czymś co wyglądało jak główna uliczka w wiosce,

rozstawiono kilka straganów, przy których kręcili się przybysze z Woodpecker, głównie kobiety. Zaś obok stał zaparkowany spory parowy furgon, który nie interesował już chyba nikogo poza grupką dzieci, zarówno Indiańskich, jak i kolorowych.

Znalezienie Trzech Piór w Ogonie nie było trudne. Przed jego mieszkaniem faktycznie znajdowała się rama z rozciągniętą na niej skórą borsuka oraz totem wysoki na jakieś cztery stopy. Myśliwy siedział obok i tak jak się spodziewałem, miał trzy czarne pióra wplecione w swój rudy ogon. Poza tym okazał się być wysokim i strasznie chudym Indianinem, o krótko przystrzyżonych włosach, z których wystawały dwa rogi. Jeden skierowany w dół, a drugi w górę. W ręce miał nóż, którym z wprawą obrabiał drzewce na nowe strzały.

– Witaj – powiedział Shining. – Czy ty jesteś Trzy Pióra w Ogonie?

– Tak – odpowiedział Indianin, mierząc nas wzrokiem. – Co sprowadza do mnie dwie kolorowe twarze i jedną w paski?

– Jestem Shining Armor, a to moi przyjaciele. Poszukujemy przewodnika. Sprzedawca w miasteczku radził nam udać się do ciebie – wyjaśnił Shining.

– Dobrze radził. Siadajcie, przyjaciele. I powiedzcie, czego szukacie w naszym lesie?

Shining usiadł naprzeciw Trzech Piór, krzyżując nogi, a my obok. Rozejrzał się wokół, ale żaden z przechodzących Indian nawet nie zwrócił na nas uwagi.

– Jak mówiłem, poszukujemy przewodnika. – Ku mojemu zaskoczeniu, Shining rozejrzał się ponownie, czy nikt ich nie obserwuje, po czym nachylił do Indianina. – Kogoś, kto zaprowadzi nas do pewnego miejsca w środku tutejszego lasu. Jakies dziesięć mil stąd powinny być ruiny wioski. Drewniane tipi, drewniany płot... Wiesz może, gdzie to jest?

– Jeśli szukasz śmierci, to są mniej bolesne metody – westchnął Trzy Pióra, po czym spuścił wzrok i wrócił do strugania.

Spojrzałem na niego z zainteresowaniem. Shining powiedział mi tylko, że wyruszamy do opuszczonej kilkaset lat temu wioski, zbudowanej obok kopalni kryształów. Mieliśmy tam znaleźć klejnot dla jego ukochanej i przy okazji dowiedzieć się, co się tam stało. Nie wspominał nic o żadnym zagrożeniu. A przynajmniej o takim, które nie jest leśną zwierzyną.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał kapitan.

– Znam miejsce, o którym mówisz. To niedobre miejsce. Mówią, że tam mieszkają złe duchy, które chcą sprowadzić zgubę na każdego, kto tam wejdzie. Brat ojca mego ojca tam kiedyś poszedł. Wrócił cały siwy, a w oczach jego był strach.

Powiedział, że miejsce to jest przeklęte przez Przodków. Bronią go bestie z drzew zrodzone, a za płotem czekają upiory. Nikt się tam nie zapuszcza.

– Patykowilki to nie jest duży problem – mruknął Monbow.

– Można je spotkać w okolicy dzikiej magii – odpowiedział mu Shining, po czym spojrzał głęboko w oczy Trzech Piór. Ale chyba nic tam nie znalazł.

– To nie są zwykłe, jak wy to nazywacie, patykowilki. Tam żyją większe i groźniejsze.

– Czy kiedyś byłeś w tamtej okolicy?

– Czasami chodzę w tamte okolice polować na te bestie. Z ich ciał jest dobre drewno. Mocne i wytrzymałe. Zęby można wymienić na wiele rzeczy. Ale to niebezpieczne łowy. Nie dla kolorowych twarzy.

– Jestem gotowy zapłacić ci za to, że nas tam zaprowadzisz. Dwieście bitów – oznajmił Shining.

– Nie. To złe miejsce dla was. I dla mnie razem z wami.

– Dwieście pięćdziesiąt bitów. Naprawdę muszę tam iść, a z przewodnikiem będzie łatwiej – nalegał Shining.

– Nie – odpowiedział Trzy Pióra, choć z pewnym wahaniem.

– Trzysta bitów.

Indianin otworzył usta, ale zamarł na chwilę, jakby się zastanawiał, czy na pewno odmówić.

– Powinienem kazać wam, jak wy to mówicie, szukać frajera gdzie indziej – westchnął Trzy Pióra w Ogonie. – Ale chciałem, by moja córka mogła pójść do waszej szkoły w dużym mieście. A to wymaga dużo tych waszych pieniędzy.

– Owszem – przyznał Shining. – Zatem mamy umowę? Trzysta bitów?

– Tak. Wyruszamy jutro o świcie. O ile wcześniej zapłacicie.

– Dlaczego mamy płacić wcześniej? – zapytał Moonbow, unosząc sceptycznie brew.

– Ponieważ wyprawiamy się w niebezpieczne miejsce, z którego możemy nie wrócić. Jeśli zginiecie, nikt nie zapłaci mojej żonie.

– No dobrze. Dostaniesz pieniądze jutro, zanim wyruszymy – zgodził się Shining, wyciągając rękę do Indianina. Ten uściśnął ją mocno, przyklepując umowę.

– No, na nas pora. Przenocujemy w miasteczku i wrócimy tu o świcie.

– A dlaczego macie wracać do miasteczka, przyjaciele? Możecie przenocować w moim domu – zaproponował Trzy Pióra w Ogonie. – Jako moi goście.

– Nie chcemy robić kłopotów.

– Nalegam. Odrzucając gościnę Indianina, obrażasz go.

– Interesujące – zaśmiał się Shining Armor – ponieważ u nas w Equestrii dobrze wychowany człowiek powinien taką propozycję odrzucić, by nie być nachalnym.

– Nachalnym? – spytał Indianin, jakby nie znał tego słowa. To dziwne, bo bardzo dobrze mówił po naszymu. Prawie bez akcentu.

– Natrętnym. Kimś, kto wykorzystuje czyjąś dobroć i robi mu kłopot dla własnej korzyści – wyjaśnił uprzejmie kapitan. – Ale skoro nalegasz, to gościnę przyjmujemy. Żeby nie urazić.

Przyznam, zachichotałem wtedy. Ale nie tylko ja, bo Moonbowa też rozbawiła ta sytuacja.

Trzy pióra w Ogonie zebrał swoje narzędzia i wprowadził nas do domu. Wnętrze okazało się być dość ciemne. Jedynymi źródłami światła było palenisko na środku oraz otwór w dachu dokładnie ponad nim. Sam dach był wsparty na trzech solidnych kolumnach wykonanych z pni drzew. Przy ogniu siedziały dwie Indianki. Starsza, raczej niewysoka o rudobrazowych włosach mieszała w garnku nad ogniem. Młodsza, jeszcze chudsza od Trzech Piór, o intensywnie rudych włosach zaplecionych w gruby warkocz korzystała z dawanego przez ogień światła i pisała coś w notatniku. Na nasz widok obie uniosły wzrok.

– Mamy gości – powiedział Trzy Pióra. – Zjedzą z nami kolację i przenocują pod naszym dachem.

– Dobrze – odpowiedziała starsza kobieta. – Łasico, przygotuj dodatkowe posłania.

– Dobrze, mamó – odpowiedziała z nutką niezadowolenia w głosie młoda Indianka, po czym schowała swój notes do kieszeni naszytej na sukience i zabrała się do pracy.

Obserwowałem ją, jak się krząta i przy okazji oglądałem indiański dom. Muszę przyznać, że był ciekawie urządzone. Po pierwsze, nie było tam żadnych mebli. Za łóżka robiły rozłożone na ziemi posłania z kocy i sienników. Z kolei wszystkie rzeczy, takie jak dodatkowe koce, jedzenie czy narzędzia były poukładane na ziemi, pod ścianami, albo też zwisały ze sznurów rozciągniętych między kolumnami. Nie brakowało jednak ozdób i drobiazgów mających ubarwić nieco pomieszczenie. Moją uwagę zwróciły w pierwszej chwili łapacze snów, wiszące nad każdym posłaniem. Łapacze to takie amulety w postaci sieci uplecionej na drewnianym okręgu, często z

jakimś wzorem, z której zwisają trzy sznurki z wplecionymi kolorowymi kamieniami, koralikami albo piórami. Podobno mają odstraszać koszmary i sprrowadzać spokojne sny. Na jednej ze ścian dostrzegłem półkę, na której stało kilka rzeźbionych i malowanych figurek, a obok leżały kolorowe kamienie i różne rękodzieła. Ku mojemu zaskoczeniu, nie było wśród nich niczego z metalu. Ale, jak powiedział mi później Trzy Pióra: metal jest zimny i nieczuły. Dobry na narzędzia, ale nie dla sztuki.

Trzy Pióra usiadł przy ognisku, rozłożył plik piór jakiegoś ptaka i wrócił do przygotowywania strzał. Jednak ledwie zaczął, a jego żona posłała mu mordercze spojrzenie. Jedno z tych, które zwiastują awanturę. Niezależnie od plemienia.

– Nawet nie próbuj mi tu śmiecić – warknęła. – Dopiero zamiotłam.

– Muszę zrobić strzały. Nasi goście wynajęli mnie na przewodnika. Jutro idę z nimi do lasu i potrzebuję strzał – odpowiedział spokojnie, ale mimo to nie zaczął przycinać piór.

– To idź brudzić na zewnątrz.

– Mamy gości.

– I ty chcesz przy nich pracować? Nie wstyd ci? – skrytykowała, nie przerywając siekania marchewki.

– Ale muszę mieć strzały na jutro.

– To trzeba było myśleć wcześniej, a nie grać w bierki z Długim Ogonem. Zawsze zostawiasz wszystko na ostatnią chwilę, a potem siedzisz do nocy, a ja muszę po tobie zmiatać. Po obiedzie możesz zrobić.

– Ale... – zaczął Trzy Pióra w Ogonie, ale zamarł pod czujnym spojrzeniem żony. Posłusznie schował narzędzia i odłożył wszystkie rzeczy pod ścianę, gdzie stał oparty jego łuk. Rzeźbiony jak niektóre winchestery. A może i nawet lepiej.

Jego małżonka prychnęła gniewnie, sugerując, że to koniec dyskusji, po czym wróciła do siekania warzyw. Z tego co się dowiedziałem, Indianie Hayabusa mieli sporo własnych upraw i kupowali naprawdę niewiele. Głównie sól i metalowe narzędzia. A płacili żywnością, skórą albo rękodziełem.

Pięć minut później posiłek był gotowy. Sześć misek zostało wypełnionych potrawką z borsuka i wszyscy zaczęliśmy jeść. Była zaskakująco dobra. Nie myślałem wcześniej, że borsuk w ogóle jest jadalny. A tym bardziej smaczny. Owszem, trochę dziwnie smakował, ale pewnie dlatego, że nie jestem przyzwyczajony.

Po kolacji zajęliśmy się swoimi sprawami. Moonbow czyścił broń, Shining poszedł nad rzekę, by wziąć kąpiel, a ja postanowiłem wyjść przed dom i wykorzystać jeszcze resztki słońca, aby opisać indiańską wioskę, mając ją przed oczyma.

Swoją drogą dziwnie się wtedy czułem. Siedziałem, jakby nie patrzeć we wiosce Indian. Obok było pełno Indian. Jeden nawet mieszkał w domu za moimi plecami. I nikt mnie nie chciał oskalpować, przywiązać do pala, opiekać nad ogniem, ani zakopać w mrowisku. Nie zostałem pokonany drewnianą pałką ani przeklęty przez faceta w kolorowej masce. Zupełnie jakbym był w zwykłym miasteczku.

Wiedziałem, że będę musiał o to spytać Trzy Pióra.

Wstaliśmy następnego dnia o świcie. Na całe szczęście byliśmy przyzwyczajeni do wczesnych pobudek. W końcu Shining i Moonbow służyli w wojsku, a ja... powiem tyle, że lubię wcześnie wstawać i korzystać z pełni dnia. Muszę też przyznać, że indiańskie posłanie było całkiem wygodne. Mimo że niewiele dzieliło mnie od ziemi, to wyspałem się naprawdę dobrze.

Po szybkim śniadaniu zabraliśmy rzeczy i wyruszyliśmy razem z naszym przewodnikiem w stronę lasu.

– Nie spodziewałem się, że kolorowe twarze potrafią tak wcześnie wstać – powiedział, ledwie po tym, jak zrobiliśmy tylko trzy kroki. Pewnie nie chciał o tym rozmawiać podczas śniadania.

– W wojsku o tej porze kończyliśmy poranną zaprawę – odpowiedział wesołym głosem Moonbow. – Generał Tight Pants ganiała nas co rano pięć mil w samej białźnie. Chyba lubiła se popatrzeć.

– Fakt, to były czasy – zaśmiał się Shining. – Nazywała to nauką latania. Do dziś nie wiem czemu.

Taktycznie postanowiłem się nie odzywać. Bo o ile sam też często wstawałem wcześnie, o tyle bieganie nie było moją mocną stroną. Poza tym bieganie w samej białźnie... kapitan... wyobraziłem to sobie i chyba już nigdy mnie ten obraz nie opuści.

– Dziwne są zwyczaje kolorowych twarzy – westchnął Indianin, kręcąc głową.
– Dalej chcecie tam iść?

– Oczywiście – odpowiedział Shining. – Jesteśmy tego pewni.

– A już liczyłem, że wielki duch zesłał wam rozum – westchnął cicho, ale nie na tyle cicho, by umknęło to uwadze Moonbowa.

– A może to wielki myśliwy jest tak naprawdę małym kurczaczkiem.

Trzy Pióra podszedł do niego i spojrzał wrogo. Był o głowę wyższy, lecz nie tak szeroki. Mimo to po jego napiętych mięśniach było widać, że jest gotów zaatakować.

– Nazywasz mnie tchórzem? – zapytał wrogo.

– Nie ja tu ciągle szukam wymówki, by nie iść do lasu?

– Spokój! – krzyknął rozkazująco Shining, stawiając między nimi magiczną barierę. – Moon, nasz przewodnik lepiej zna las i jeżeli się obawia tego, co w nim żyje, to lepiej mieć się na baczności. A właśnie... – spojrzał na Trzy Pióra – wspomniałeś, że tam, gdzie idziemy, żyją patykwilki. Czy łuk to nie jest trochę za mało na nie?

– Wasz grzmiący kij jest potężny i bez trudu położy jelenia na sto kroków. Ale przy tym spłoszy całe stado. Albo ściągnie nam na głowy więcej tych patykwilków.

– Mówiłeś, że te bestie chronią tego... przekłętego miejsca i atakują każdego, kto się zbliży. Więc pewnie magicznie wyczuwają, jak ktoś się pojawi i same nie opuszczają „swojej strefy”.

Indianin zamarł na chwilę, intensywnie myśląc.

– Trzeba by zapytać szamana – przyznał, drapiąc się za głowę. – No i nie mam grzmiącego kija – dodał, jakby z odrobiną wstydu. – Kiedyś z takiego strzelałem, ale nigdy nie kupiłem. Zawsze poluję łukiem i sprytem.

Moonbow prychnął i demonstracyjnie poprawił pasek swojej broni, na co Indianin warknął.

– W takim razie, spróbujemy tam dojść sprytem – stwierdził dziarsko Shining. – Ruszajmy więc. Mamy już plan i zapasy na dwa dni.

– Nie potrzebujecie nic poza wodą, moi przyjaciele. Las nas wyżywi. Poza tym, to wyprawa na jeden dzień. Jeden dzień postu wam nie zaszkodzi.

Moonbow zaśmiał się, patrząc wymownie na Shininga. Domyślam się, że wynikało to ze złośliwości dwóch przyjaciół i towarzyszy broni, bo kapitan nie był w żadnym razie gruby.

Wreszcie naprawdę wyruszyliśmy. Przed nami było dziesięć mil przez gęstniejący las. Wydaje się, że to nie jest wiele, szliśmy dość wolno, prowadził nas Indianin, który poruszał się ostrożnie, wypatrując zagrożeń. Poza tym, skoro na końcu miały na nas czekać złe patykwilki, to lepiej jednak się nie spieszyć i uważnie obserwować okolicę, żeby w jakiegoś nie wdepnąć.

Po trzech godzinach mieliśmy za sobą połowę drogi. Niewiele, ale w międzyczasie Trzy Pióra wytropił i ustrzelił jakiegoś całkiem sporego ptaka, chyba indyka, który teraz wisiał mu przy pasie.

– Mówiłem wam, że las nas wyżywi – zaśmiał się, po czym przystanął, przykucnął i wskazał ręką na coś oddali. – Spójrzcie. Wiewiórka.

Faktycznie, na ziemi siedziała ruda wiewióra z puszystą kitą i wsuwała jakiś orzech albo coś. Z tej odległości trudno było stwierdzić. Zobaczyć samą wiewiórkę też było trudno i pewnie gdyby nie Trzy Pióra to bym jej nie dostrzegł.

– Ale ładna – szepnąłem. Tak będąc zupełnie szczerym, to nigdy wcześniej nie widziałem żywej wiewiórki.

– Chcesz jej ukraść orzechy? – spytał Shining, nie spuszczać wzroku ze zwierzęcia. Jego dłoń wisiała blisko rewolweru. Zupełnie jakby rozważał, czy jej nie ustrzelić. Nie wiem, co by z takiej wiewiórki zostało, gdyby trafił.

– Jeśli znajdziesz dziuplę wiewiórki, będziesz mógł obdarować orzechami przyjaciela. Jeśli pójdziesz za nią i znajdziesz drzewo, będziesz mógł obdarować całą wioskę – odpowiedział sentencjonalnie Indianin.

– Sprytnie – przyznał Moonbow. Mam wrażenie, że przez te trzy godziny nabrał trochę szacunku do Indianina.

– Ojciec mnie tego nauczył. Uczył, by szanować las, a wtedy las uszanuje ciebie.

– Mój mi tylko opowiadał, jak żyli nasi dziadkowie, zanim trafili do Equestrii. To było zupełnie inne. Podobno było spokojniej. Trochę jak u was.

– Mogę cię o coś zapytać, Trzy Pióra w Ogonie? – zacząłem, zmieniając temat.

Indianin skinął głową, ruszając przed siebie.

– Mieszkacie kilka mil od Woodpecker i żyjecie w pokoju z... nami. Jak to się stało? Zazwyczaj Indianie nie są nam zbyt przychylni. Napadają na przykład na omnibusy.

– A dlaczego twoi bracia przyszli na nasze ziemie z dłońmi otwartymi, a nie zaciśniętymi w pięść? – odpowiedział pytaniem na moje pytanie. Byłem tym tak zaskoczony, że mało nie wpadłem na Shining Armora, który zatrzymał się w miejscu i spojrzał na Indianina z uniesionymi brwiami.

– Z tego co pamiętam, to Indianie pierwsi zaczęli atakować pionierów osiedlających się na nowych ziemiach. My się tylko broniliśmy.

– Widocznie wasi pionierzy weszli na ich ziemie – skwitował Trzy Pióra.

– Tak? – włączył się Moonbow. – A gdzie niby sięgają „ich” ziemie?

– Wielu naszych braci mówi, że ziemie sięgają tam, gdzie sięga ich wzrok. Ale niektórzy uważają, że ziemie Indian są tam, gdzie Indianie są w stanie dotrzeć.

– To strasznie nieprecyzyjne.

– A czy przez to plemiona ze sobą nie walczą? – spytałem, czując, że ta rozmowa może zejść nie tam, gdzie chciałem.

– Oczywiście, że walczą. Ojciec ojca mego ojca brał udział w wielkiej wojnie z Chicahaua, którzy postanowili osiedlić się na skraju naszej ziemi i polowali na nasze stepowe krowy. I wygnaliśmy ich tam, skąd przyszli. A wcześniej też toczyliśmy wojny. Tylko teraz wojenny wódz ma mało do roboty.

– Aha – mruknął Shining, nieprzekonany logiką Indian. – A jak to było z Woodpecker? Z nimi żyjecie w zgodzie.

– To było kiedy ojciec mój był jeszcze dzieckiem – zaczął Trzy Pióra, po czym kucnął przy drzewie i pociągnął łyk wody ze skórzanego bukłaka. – Wtedy moi bracia rzadko chodzili za tamto wzgórze, za którym leży teraz wioska waszych braci. Dlatego, gdy mój ojciec wraz z bratem postanowili się tam wyrwać, zamiast pójść do szamana nauczyć się liczyć, to zobaczyli, jak buduje się wasza wioska, a wasi bracia ścinają drzewa, wznoszą tipi i kładą żelazną drogę. Pobiegli z tym do wodza, wódz zwołał radę starszych, by zdecydować, co z tym zrobić. Były różne pomysły. Wojenny wódz chciał wam wypowiedzieć wojnę. Szaman mówił, że to nie jest nasza ziemia, bo przecież my jej nie widzimy. Pierwszy Myśliwy mówił, że to bez znaczenia, bo góra zasłania, a przecież możemy tam pójść. Pokojowy wódz chciał was wygnać słowem. Radzili tak trzy dni i trzy noce. Aż uradzili, by pójść do wioski, zobaczyć, co wy w sumie chcecie, a najwyżej potem was wygnać. Poszedł więc wódz do wioski kolorowych twarzy, w towarzystwie szamana i myśliwego, i dwóch kobiet. A tam się okazało, że jest ślub i tańce. Gdy wasi ludzie zobaczyli naszych, podobno się przestraszyli, kilku nawet sięgnęło po broń. Ale wasz wódz zaprosił naszego do wspólnego stołu i wspólnej zabawy. Nasz wódz uznał, że takiego zaproszenia odrzucić nie wolno, bo to wbrew woli Wielkiego Ducha i postanowił dołączyć do biesiady. Następnego dnia obie wioski się dogadały i wypalono fajkę pokoju, oraz podpisano papier. I tak już zostało.

– Zaskakujące – podsumował Shining Armor, spoglądając na równie zaskoczonego Moonbowa.

– Prawda, nigdy bym się nie spodziewał.

Sam też byłem tym wielce zaskoczony. Nie spodziewałem się, że historia stojąca za tą przyjaźnią jest tak przypadkowa. W końcu, gdyby nie ten ślub akurat tamtego dnia, to pewnie skończyłoby się wojną i garnizonem. Tak samo, gdyby burmistrz okazał się być narwańcem. Albo gdyby zdecydował wojenny wódz, zamiast pokojowego. Przedziwny splot szczęśliwych okoliczności. Choć nie wiem, czy nie wspomagany wodą ognistą.

Swoją drogą, wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale Woodpecker to nie jedyna wioska, która dogadała się z Indianami. W Equestrii jest kilkanaście takich i ich ilość pewnie stale rośnie. Rzadko się o nich słyszy, bo miejscowi się tym zwyczajnie nie chwala, a nawet jeśli, to prasa dziwnym trafem o tym nie pisze.

– Niebywały przypadek. I potem zaczęliście handlować? – spytałem, wyciągając dziennik, w którym zacząłem szybko zapisywać słowa Indianina. Postanowiłem też sobie, że kiedyś wrócę do Woodpecker i zgłębię temat, bo to materiał na ciekawą opowieść. Teraz byłem na usługach kapitana i musiałem zająć się czymś innym.

– To już było mniej proste. Wasi ludzie chcieli nam dawać kolorowe krążki i jakieś papiery. Nie rozumieliśmy, o co wam chodzi i nasz szaman musiał się od waszego dowiedzieć, co to są pieniądze i co znaczą. Potem nauczył nas. Ale dalej wolimy wymieniać się na prawdziwe rzeczy, a nie błyszczący metal czy kolorowe papierki z twarzami.

– To złoto – odpowiedział Shining, jakby chciał w ten sposób wytłumaczyć coś oczywistego.

– Oraz papier i farba – dorzucił złośliwie Moonbow.

– Chodzi o to, że to jest pewne ułatwienie życia – zaczął Shining, czując misję, by wyjaśnić Indianinowi ideę pieniądza. – Taka umowa między wszystkimi ludźmi, że te monety i banknoty z cyferkami mają pewną wartość, którą gwarantują nam księżniczki. Nasze wielkie wódcz... – urwał, szukając zapewne lepszej odmiany. – Prościej wozić ze sobą zwitek banknotów niż cały wóz zboża. Poza tym, zboże trzeba zużyć, bo się zepsuje. A złoto może leżeć i nie straci na wartości.

– Po co trzymać zboże? Zboże trzeba zasiać, zebrać i upiec chleb. Zboże jest przydatne, a papierki nie.

– No tak. Ale... założmy, że w sąsiedniej wiosce, wiele dni drogi od twojej, ktoś sprzedaje piękny łuk i chce za niego mięso. Ale zanim tam dojedziesz z dużą ilością mięsa, to się zepsuje. A z pieniędzmi nie ma takiego problemu.

– Zamieniłbym mięso na kły patykowilka albo drewno i zawiózł je do tamtej wioski. Tam mogę je wymienić na łuk, a on może je wymienić na mięso z myśliwym z wioski bądź zrobić z nich na przykład piłę i wymienić ją na zboże. Pieniądze nie są potrzebne.

– Niby tak, ale duże pieniądze łatwiej przenosić niż duże ilości zębów i łatwiej magazynować. – Shining nie dawał za wygraną. – Na przykład gdybyś chciał kupić dom albo dymiący powóz...

– Dymiący powóz mi nie potrzebny, a dom mogę zbudować – odpowiedział spokojnie Trzy Pióra. – Potrzebuję tylko siekiery, którą kupię za garść zębów.

Mój ołówek skrobał po papierze, nadganiając dyskusję. Nawet jeśli nie użyłbym tego materiału do wyprawy Shining Armora, to może okazać się ciekawym dodatkiem do innej historii. Zwłaszcza ubarwiona odpowiednimi opisami ludzi próbujących obronić ideę pieniądza przed brutalną logiką Indian.

– No dobra. To wyobraź sobie, że bierzesz dwa wozy, jeden z kukurydzą, a drugi ze zbożem i idziesz to sprzedać dwóm plemionom. A one płacą ci pieniędzmi, więc wracasz z pustymi wozami i jest źlej. A za pieniądze możesz na wiosnę kupić na przykład narzędzia.

– Ale po co wracać z pustymi wozami? – spytał Indianin, jakby chodziło o coś oczywistego. – Można wymienić to, co mówisz, na coś pożytecznego. A narzędzia kupić za rogi jeleni czy drewno leśnych bestii. Bez złotych krążków.

– Ale... ale chwila. – Na twarzy Shininga zagościł złośliwie tryumfalny uśmiech. – Przecież chciałeś od nas pieniędzy, by zapłacić za szkołę dla swojej córki.

– Bo ty chciałeś płacić mi pieniędzmi, a wasza szkoła chce tych samych pieniędzy – odpowiedział spokojnie Trzy Pióra. – Mógłbym jej dać na przykład zęby patykowilka, ale prościej jej będzie wymienić pieniądze na naukę. Gdyby wasza szkoła chciała muszli, to bym dał córce muszlę, by miała łatwiejszy start. Poza tym, dostanie trochę zębów i innych drobiazgów, żeby móc je wymienić. Miasto jest daleko od lasu, więc pewnie wymieni je na coś wartościowego.

– Ale...

– Opuść – powiedział Moonbow, poklepując Shininga po plecach. – Nie od razu Canterlot zbudowano.

– Moonbow, a jak to było w przypadku wyzwolenców? – zapytałem, unosząc wzrok znad notatnika. – Czy też mieli problem z ideą pieniądza?

– Musieli tylko nauczyć się liczyć. Idea pieniądza nie była obca dla kogoś, kogo kupowano i sprzedawano.

– Przepraszam – bąknąłem zmieszany.

– Takie były czasy – odpowiedział, wzruszając ramionami. – Teraz są lepsze. A kiedyś może będziemy mieć pasiastą księżniczkę – zaśmiał się.

Ja też się zaśmiałem, zaśmiał się Shining i zaśmiał się Trzy Pióra w Ogonie. Ale temat i tak jakby umarł.

Dalszą część drogi pokonaliśmy już bez dłuższych rozmów. Trzy Pióra trochę opowiadał o lesie, ale im bliżej byliśmy celu, tym bardziej stawał się milczący i czujny. Nam zresztą też kazał się nie odzywać i tylko okazjonalnie burczał na kolorowe twarze, chodzące jak stepowe krowy po prerii.

W pewnym momencie nawet wziął w ręce łuk i zaczął się skradać. Idąc za nim spostrzegłem, że jego łuk ma pewien interesujący dodatek. Kilka cali nad miejscem, w którym go trzymał, zamocowane było mosiężne kółko z trzema naprężonymi drutami. Wyglądało to jak celownik. Sama strzała też była inna, bo zamiast ostrego końca miała na czubku coś w rodzaju napęczniałego woreczka albo kulki.

Moonbow miał w rękach swoją strzelbę i rozglądał się uważnie. Shining nie dobił rewolweru, choć kaburę kilka razy poprawił.

Po chwili teren zaczął się nieco obniżać, a między drzewami ukazała nam się mała wioska otoczona obrośniętym przez jakieś rośliny murem. Już stąd było widać, że jest z nią coś nie tak. Bo o ile na zewnątrz drzewa rosły normalnie, tak jak chciały, o tyle za murem nie dostrzegałem żadnej korony ani pnia. Do tego brama oraz jard drogi przed nią były całkowicie pozbawione zieleni. Zupełnie jakby nic nie chciało tam rosnąć. Nawet trawa.

Nie miałem jednak czasu się dłużej przyglądać, bo z lewej rozległo się krótkie warknięcie. Spojrzałem tam i zobaczyłem samotnego patykowilka zbliżającego się do nas powoli. Był wielki, miał chyba pięć stóp od ziemi do czubka uszu, zielone, świecące oczy i pysk najeżony kłami, z których skapywała spieniona żywica. Dzika magia jest naprawdę fascynująca.

Zrobiłem krok w tył i sięgnąłem do kieszeni po mój mały rewolwer. Trzy Pióra przykucnął pewnie i zaczął mierzyć do zbliżającego się powoli patykowilka. Nie zdążył jednak zrobić nic więcej, bo Moonbow podrzucił strzelbę do ramienia i wystrzelił trzykrotnie. Czaszka patykowilka eksplodowała, a reszta bestii zwała się na ziemię i rozsypała.

– Brawo Moon! – zawołał uradowany Shining. – Doskonały strzał. Czym go tak załatwiłeś.

– Dzięki. Ołowiane kule. Takie jak kiedyś do muszkietów. Potrafią powalić nawet mantikorę. Mam jeszcze takie, co wybuchają.

– Głupcy! – jęknął Trzy Pióra, opuszczając łuk. – Skończeni głupcy. Sprowadzicie tu ich więcej – oznajmił, po czym podszedł do truchła patykowilka z tomahawkiem w dłoni.

– Damy radę – zbagatelizował Shining. – Poza tym, zostało nam raptem kilkadziesiąt jardów. Najwyżej pobiegniemy.

– Dobrze – warknął Indianin, po czym kilkoma uderzeniami rozrąbał pierś bestii i wyciągnął z niej jakiś kryształ, który owinał w szmatę. – Zrealizowałem moją część umowy. Więc pora się pożegnać.

– Zaczekaj. A jak niby wrócimy? – spytał oburzony Shining.

– Umawialiśmy się, że was tu doprowadzę...

– Wilki – zawołał Moonbow, przerywając dyskusję.

Faktycznie, od strony wioski nadeszły trzy wielkie patykowilki, krocząc powoli i uważnie nas obserwując. Dwa kolejne nadeszły z lewej, szczerząc drewniane kły.

– Pat, trzymaj się blisko, ale nie wchodź pod lufę – rzucił do mnie Shining, a jego róg rozbłysł. – Zajmiemy się nimi.

Skinąłem głową i cofnąłem się, próbując obserwować wszystkie pięć wilków jednocześnie. Nie było to łatwe.

Trzy Pióra wypuścił strzałę, która trafiła najbliższego, eksplodując ciemną chmurą. Zawiesił łuk na piersi, zaatakował tomahawkiem drugiego, aż rąbnął go w szczękę. Szybkością mógłby rywalizować nawet z Rainbow Dash.

Moonbow wypalił w nadciągającą trójkę wilków, kule wrywały drewno, drzazgi sypały się wszędzie. Przez moment myślałem, że zabraknie mu amunicji i szarżująca bestia go dopadnie, ale ostatnim strzałem rozwalil jej łeb, po czym uskoczył, zanim zasypała go rozpędzona masa gałęzi.

Shining, osłanił się półbarierą przed uderzeniem łapy. Nie kontratakował coltem, tylko odskoczył do tyłu, opuścił osłonę i posłał bestii błyskawicę prosto w pysk. Wilk tylko potrząsnął głową, po czym uderzył łapą w postawioną naprędce magiczną barierę. Co zaskakujące, zobaczyłem na magicznej ścianie pęknięcia jak w kryształach. Wystarczy tylko jej dotknąć, by się rozsypała. Kapitan rzucił się w bok i uderzył kolejną błyskawicą w głowę bestii. Wyciągnął rewolwer, strzelił jej dwa razy w oko, aż pozbawił magicznego ducha.

Wtedy wilk trafiony na początku przez Trzy Pióra skoczył na mnie z rozdziawioną paszczą. Spanikowałem, padłem na ziemię i to mnie uratowało. Cień przemknął po mnie, bestia wylądowała za naszymi plecami.. Zanim zdążyłem ostrzec innych, nasz przewodnik zeskoczył z wilka, z którym walczył, i posłał dwie strzały w tego, który mnie zaatakował. Nawet nie zauważyłem, kiedy dobył łuku.

– Uciekaj! – zawołał, choć wcale nie musiał. Poderwałem się i rozejrzałem nerwowo w poszukiwaniu kryjówki. Żadnej nie dostrzegłem, więc pozostało mi tylko jedno.

– Otaczają nas! – krzyknąłem, chwytając za mój mały rewolwer. Zanim jednak zmusiłem drżące palce do działania, Shining posłał w wilka potężny magiczny promień, który roztrzaskał jego dolną szczękę i ściągnął uwagę bestii na kapitana.

Cofnąłem się pod drzewo, pozwalając wilkowi bez przeszkód skoczyć na kapitana. Ten tylko na to czekał, stawiając przed sobą barierę.

Ze zgrozą patrzyłem, jak magiczna ściana rozpada się z trzaskiem, a drewniana bestia przygniata kapitana do ziemi. Zanim jednak szczęki zdążyły zatrzasnąć się na jego głowie, Shining teleportował się i zaatakował błyskawicą. To jednak nie rozwiązało problemu, bo pozbawiony łapy patykowilk tylko zawył i zaatakował z furią, zmuszając kapitana do kolejnej teleportacji. Dopiero kolejna błyskawica i trzy kule z rewolweru w głowę unieszkodliwiły bestię na dobre.

Tymczasem Trzy Pióra powalił patykowilka, którego z uporem tłukł tomahawkiem i zabrał się za drugiego. Shining i Moonbow uporali się z dwoma kolejnymi. Więc z pięciu na trzech zrobiło się trzech na jednego.

Ten ostatni wilk padł po tym, jak Moonbow władował w niego dwie kule ze swojej strzelby. Jak widać rozmiar lufy ma kolosalne znaczenie.

– Wszyscy cali? – zapytał Shining, a my potwierdziliśmy, choć ciężko było mówić, żebyśmy wyszli z tego bez szwanku. – To dobrze. To była ciężka walka, ale daliśmy radę. Dziękuję. A teraz pora ruszać, zanim zlezie się ich więcej.

– Jesteście szaleni, kolorowe twarze – burknął Trzy Pióra. Ale nie ze złością, a raczej z... podziwem? Indianie są dziwni.

– Powiedział ten, który rzucił się z toporkiem na dwa patykowilki.

– Bestie mają słaby punkt na grzbiecie – odpowiedział Indianin. – Łatwo przez niego zniszczyć serce.

– Dobrze wiedzieć – potwierdził Shining, ruszając w stronę wioski. – Choć mam nadzieję, że się nie przyda.

– Zniszczyliście serca? Prawda?

Zanim Shining zdążył odpowiedzieć, resztki patykowilków rozbłysły zielonym światłem i zaczęły drgać.

– Co jest... – spytał Moonbow, patrząc na szczątki.

– Uciekajcie! – krzyknął Trzy Pióra. – Już!

Nikt się nie spierał. Rzuciliśmy się biegiem w stronę wioski. Po chwili za nami rozległo się przeciągłe, mrozące krew w żyłach wycie. Takie, że aż włosy na rękach stawały dęba, a ogon sam przyciskał się do zadka. Obejrzałem się i zobaczyłem trzy patykowilki. Tak ze dwa razy większe od poprzednich i wściekłe, jak nie wiem co.

– Co do?

– Urosły – odpowiedział Indianin, po czym zatrzymał się, strzelił w ich stronę tą swoją dziwną strzałą i bez trudu dołączył do nas. – Jak nie zabierzesz lub nie zniszczysz ich serca, wracają większe.

– Niedobrze.

– No nie mów – wysapał sarkastycznie Moonbow.

Ratunek był już tuż-tuż, gdy poczułem na karku rześki, pachnący lasem oddech. Marna to była pociecha, biorąc pod uwagę, skąd się brał. Przyspieszyłem te ostatnie kilka jardów, choć dyszałem już i sapałem jak lokomotywa. Biegacz ze mnie marny.

Kilka kroków przed bramą potknąłem się i runąłem jak długi. Już myślałem, że zostanę rozszarpany, ale Shining chwycił mnie telekinezą jak worek i pociągnął za mur, a Moonbow i Trzy Pióra zaczęły strzelać, spowalniając wilki.

Ku naszemu zaskoczeniu, bestie zatrzymały się dokładnie przed niezarośniętym kawałkiem ziemi, usiadły i warknęły, obserwując uważnie bramę. Nie próbowały się nawet zamachnąć łapą na nas czy podejść, choć byliśmy tak blisko. Zapewne dobry rysownik mógłby w tamtej chwili usiąść na ziemi i narysować bardzo szczegółowy obraz patykowilka.

Moonbow stanął na środku bramy i patrzył na nie, gotów w każdej chwili uskoczyć. Jednak wilki nie atakowały. Nie drgnęły, nawet gdy uniósł strzelbę do ramienia i wycelował w jednego z nich.

– Wszyscy cali? – zapytał ponownie Shining, który sam nie wyglądał najlepiej. Jeden z wilków musiał go capnąć za ramię, sądząc po rozerwanym rękawie koszuli i śladach czerwieni.

– Bardziej niż ty – odpowiedział Moonbow, podchodząc do niego. – Pokaż, co tam masz – powiedział, po czym rozerwał mu rękaw do końca i zabrał się do bandażowania. Trzy Pióra postanowił mu pomóc, a ja miałem okazję przyjrzeć się miasteczku. Wyglądało dziwnie. Ale nie z architektonicznego punktu widzenia. Domy były głównie drewniane, postawione trochę bez ładu. Zupełnie jakby ktoś po prostu powiedział, że jakaś chałupa ma być stamtąd tu, a kolejna stąd tam. I tak zbudowano. Aż trochę dziwi, że ściany były proste. A przynajmniej takie się wydawały. Pomiedzy nimi stały beczki albo narzędzia, czy kije oparte o ściany. Gdzieś tam był przygotowany stos drewna opałowego, obok którego leżały jakieś drobiazgi, które mieszkańcy pewnie chcieli w przyszłości do czegoś wykorzystać. W całym tym obrazie nie byłoby pewnie nic dziwnego, gdyby nie fakt, że wszystko wyglądało jakby wioskę opuszczono ledwie wczoraj, a nie kilkaset lat temu. I nawet nie tyle opuszczono, co raczej jakby mieszkańcy po prostu wyszli na chwilę.

– No, do wesela się zagoi – mruknął Moonbow, zawiązując bandaż.

– Całą służbę na granicy z Mrreksykiem przeżyłem bez jednego postrzału – westchnął Shining Armor, prostując się. – A głupia kupa drewna rozharatała mi ramię. Oj, Cadance będzie mi to wypominać.

– Weź to, przyjacielu – powiedział Indianin, podając mu gliniany słoik, zamknięty wieczkiem z kory. – Ta maść przyspiesza gojenie.

– Dziękuję. Za pomoc i ratunek. Powiedz, czemu z nami pobiegłeś? Mówiłeś, że to złe miejsce.

– To jest złe miejsce. Ale potrzebowaliście pomocy. A nie należy opuszczać towarzyszy w kłopotcie.

– Ma sens. Bądź spokojny, wyjdziemy stąd cali – zapewnił – Zwłaszcza, że nasz cel jest blisko.

– Jaki cel? – spytał Trzy Pióra, unosząc brew.

– Poszukuję najpiękniejszego klejnotu, godnego mojej ukochanej – odpowiedział Shining. – A tu była kopalnia znana z pięknych klejnotów. Poza tym nasza władczyni chciała, bym dowiedział się, czy można tu wrócić.

– Biały człowiek nie jest zwyczajnie szalony. Jest szalony dla swoich kobiet – skwitował Indianin, kręcąc głową. – To się zawsze źle kończy.

Shining wywrócił oczami, ale nie odpowiedział. Następnie rozejrzał się wokół, po czym ruszył w stronę najbliższego domu i wszedł do środka. Podążyliśmy za nim i mało nie wpadliśmy na niego, stojącego w sieni jak słup. Widocznie dopiero teraz dotarło do niego, jak dziwnie wygląda ta wioska.

Choć nie. Jak już sam się rozejrzałem, to też byłem w szoku. Bo o ile z zewnątrz dom wyglądał jak nietknięty zębem czasu, o tyle środek tylko potęgował ten efekt. Na środku głównej izby stał stół, a na nim wazonik ze świeżymi kwiatami, wyglądającymi jakby ktoś je dziś zebrał. Na blacie nie było ani grama kurzu.

– Co to... – jęknął zszokowany Shining.

– Wygląda, jakby dopiero ktoś wyszedł – mruknął Moonbow, przechodząc do pomieszczenia. Jego uwagę przykuł piec. Dotknął go i zauważył, że jest ciepły. – Mówiłeś, że ile to lat?

– Ponad pięćset – odpowiedział machinalnie. – Hollow zostało opuszczone pięćset lat temu.

– A nie wygląda.

– Ile to jest pięćset? – spytał Trzy Pióra w Ogonie. – Dużo?

– Dużo – potwierdziłem. – To jakby... Powiedzmy, że kiedy dzieci dzieci twoich dzieci rodzą dzieci, to mija sto lat. Pięćset to pięć razy tak długo.

Trzy Pióra myślał intensywnie. Aż prawie widziałem, jak mu dym leci z uszu. Ale bądźmy szczerzy, który Indianin zaprzęta sobie głowę tak dużymi liczbami.

– To bardzo dużo – mruknął po chwili. – Ta wioska nie wygląda na opuszczoną tak dawno temu. To złe miejsce. Czuć tu działanie złego ducha.

– Możliwe – potwierdził Shining Armor, siadając na ławie. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zamarł na chwilę, jakby próbując zebrać i odpowiednio sformułować myśli. – W zasadzie, to prawdopodobnie nie jest dalekie od prawdy. Gdy pięćset lat temu kontakt z Hollow się urwał, księżniczki wysłały tu oddział zwiadowców. Wróciła połowa i powiedziała, że z oddali wioska wygląda na nietkniętą, ale gdy spróbowali podejść bliżej, zaatakowało ich stado demonów lasu. Czyli pewnie patykowilków. Wielkich jak domy. Latający zwiadowcy powiedzieli, że wioska wygląda na opuszczoną, ale bez śladów walki. Bali się jednak lądować.

– Czekaj, mówileś stado? – spytał Moonbow. – Stado, które przetrzebiło oddział zwiadowców? Nas napadło tylko pięć.

– Pięć to nie jest mało na trzech myśliwych – wtrącił Trzy Pióra. – Grzmiący kij i wasza magia były tu bardzo pomocne.

– Właśnie. Pamiętaj, Moon, że pięćset lat temu nie było broni palnej, tylko miecze i zbroje. A dzika magia wzbudzała dużo większe przerażenie wśród *niemagicznych* ras niż teraz – wyjaśnił Shining. – To albo kiedyś magia była tu potężniejsza niż teraz.

– Czyli mamy zagadkę do rozwiązania? – spytałem z nutką entuzjazmu w głosie. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo niebezpieczna potrafi być dzika magia. Poza tym, nie ukrywam, uwielbiam opowieści. A bycie elementem takiej tajemniczej i niekoniecznie bezpiecznej historii było jednym z moich marzeń. Obok napisania książki czy spotkania którejś z księżniczek. Od razu się pochwałam, że realizacja marzeń idzie mi całkiem sprawnie.

– Niekoniecznie – odpowiedział Shining, gasząc nieco mój entuzjazm – Tak naprawdę chcę tu znaleźć najpiękniejszy klejnot na świecie i podarować go księżniczce Cadance, gdy poproszę ją o rękę. Reszta to najwyżej dodatek.

Z rozdziawionymi ustami patrzyłem na Shining Armora, który rumienił się i uśmiechał przepraszająco. Trochę jak młody chłopak na widok pięknej śpiewaczki w tych tanich powieściach.

– To musi być piękna kobieta, skoro gotów jesteś dla niej zginąć i zgubić przyjaciół – odpowiedział Trzy Pióra w Ogonie. Niby w jego głosie nie było entuzjazmu, ale trochę się uśmiechał.

– Najpiękniejsza – westchnął marzycielsko Shining Armor. – Ma cudowne, fioletowe oczy, takie śliczne, jedwabiste włosy, nogi długie i smukłe...

– A cycki takie...

– Nie kończ, bo cię walnę – warknął Shining, lecz zaraz się roześmiał.

– To co teraz robimy? – zapytałem.

– Szukamy skarbu. Zaczniemy od ratusza, pod którym powinien być skarbiec, a później zbadamy kopalnię. I miejcie oczy dookoła głowy, bo nie wiadomo, co tu możemy spotkać.

– Złe duchy – mruknął pod nosem Trzy Pióra, ale nikt nie podjął tematu.

Wyszliśmy z domu i ruszyliśmy uliczką, kierując się do największego budynku. Nie uszliśmy jednak daleko, bo naszą uwagę przykuła kolejna, nieprawdopodobna rzecz. I powiem wam, że gdyby mnie tam nie było, to sam bym nie uwierzył. Zobaczyliśmy kuźnię. Niby nic dziwnego, ale w piecu było rozpalone, a przy kowadle stał kowal. Ale nie taki zwykły, umięśniony, nieco zgarbiony facet z młotkiem, tylko jakby przezroczysty. Coś jakby „wykuty” w kryształ. Stał tam i kuł kilof. Kilof był metalowy. Młot też.

– Dzień dobry – powiedział Shining, ale kowal nawet się nie zawahał. Dalej pracował, jakby nas tu nie było. – Halo, słyszy mnie pan! – Dalej bez rezultatu.

Wtedy kapitan wyciągnął z paleniska rozgrzany pogrzebacz i podłożył go na kowadło. I też nic. Żaden normalny rzemieślnik nie puściłby tego płazem, a ten walił młotem w podłożony przedmiot, jak sam go trzymał.

Moonbow podszedł do kowala od lewej strony i złapał go za ramię.

Tego już kryształowy kowal nie darował. Zawył potępieńczo i zamachnął się młotem na Moonbowa. I byłby trafił, gdyby Shining nie postawił magicznej tarczy.

Dla bezpieczeństwa cofnąłem się pod ścianę i obserwowałem, jak kowal z niesamowitą szybkością atakuje kapitana, który usiłuje się bronić magicznymi barierami i pogrzebaczem. Szło mu to na tyle dobrze, że szybko przeszedł do kontrataku i już po chwili trafił swojego przeciwnika w ramię, odłupując z niego spory kawał kryształu, lecz to nie był koniec, bo kowal atakował dalej.

Trzy Pióra zaszedł wroga od tyłu, odczekał na odpowiedni moment i dzielił tomahawką w kark. Dość skutecznie, bo odrąbał mu całą głowę.

Kryształowa istota zamarła w półruchu, ale to wystarczyło. Moonbow podrzucił strzelbę do ramienia i wypalił w pierś tego czegoś, roztrzaskując kowala jak kryształowy wazonik.

– Udław się ołowiem – zaśmiał się.

– Co to było? – spytał Shining, patrząc na jarzące się nikłym światłem szczątki.
– Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Zły duch? – powiedział pytająco Indianin.

– To ducha można zabić?

– Może. Nie wiem. Szaman będzie wiedział. Ale to coś jest złe. Złe i... szalone. Jak zły duch.

– Jeśli spotkamy kolejnych, to lepiej ich omijać szerokim łukiem – stwierdził Moonbow. – Albo od razu strzelać.

Rozejrzeliśmy się pobieżnie po kuźni, ale nie znaleźliśmy nic ciekawego. A raczej nic ciekawszego niż kryształowy kowal. Ot dobrze zachowana kuźnia sprzed pięciuset lat, wraz z kompletem narzędzi. W Fillydelphii jest podobna, która ciągle funkcjonuje. Byłem tam kiedyś i odbyłem bardzo pasjonującą rozmowę z kowalem. Liczyłem, że przyda mi się w jakiejś opowieści, ale na razie niestety nie.

Wracając, ruszyliśmy w kierunku ratusza, rozglądając się uważnie. Ale z każdym krokiem czuliśmy, że sytuacja była coraz dziwniejsza. Mijaliśmy kolejne kryształowe konstrukty pogrążone w codziennych zadaniach. Kobieta przy studni kręciła korbą, inna zamiatała przed domem, a dwie kolejne rozmawiały przy straganie. Wszystko to odbywało się bez najmniejszego dźwięku. Trochę jak w tych nowych kinematografach, które pojawiły się kilka lat temu. Ruchomy obraz, tylko że na żywo.

Po wejściu do ratusza zobaczyliśmy małe biurko, za którym siedziała kobieta, równie kryształowa co kowal czy inne konstrukty. Nawet nie zwróciła na nas uwagi, studiując uważnie jakąś kartkę pergaminu zapisaną pochyłym pismem. Wyglądało to na list opatrzony pieczęcią na dole. Ostrożnie zaszedłem ją z boku, by spróbować przeczytać, co tam jest napisane, ale poległem. Litery były zbyt... fantastyczne, bym dał radę.

Samego burmistrza znaleźliśmy w jego gabinecie. Garbił się nad grubą księgą. Była to księga rachunkowa prezentująca zestawienie wydobycia różnych kryształów. Na górze była data „7 maja”. Tak, napisane przez Y. Prawdopodobnie ostatni dzień istnienia mieszkańców. A przy okazji dzień pełen obfitości. Według notatki na boku, odkryto nową pieczarę z bogatym złożem. Poza tą informacją znajdowały się tam, kolumny cyfr i nazw oznaczających chyba zsumowaną masę różnych kryształów. Chętnie bym na to zerknął dokładniej, ale obawiam się, że mógłbym wkurzyć byłego burmistrza. Nie wkurzył go jednak fakt, że zwinęliśmy mu klucze leżące na blacie.

Odnalezienie schodów do piwnicy również obyło się bez problemów. Problemem był jednak fakt, że pod drzwiami dzielącymi nas od prawdopodobnego skarbcza siedzieli dwaj kryształowi strażnicy grając w karty. Pod ręką każdy z nich miał krótki miecz.

Moonbow uniósł strzelbę i wycelował w jednego z nich, ale Shining złapał za lufę.

– Zaczekaj. Nie wiemy, czy to nam nie ściągnie na głowę wszystkich w tym budynku.

– To co proponujesz?

– Może magię – odpowiedział, po czym aktywował róg. – Uważajcie, jakby coś poszło nie tak.

– Dobrze – potwierdził Moonbow, ujmując pewnie strzelbę. Sam stanąłem trochę z tyłu, by nie przeszkadzać, ale i uważnie obserwować.

Świetlista poświata otoczyła obu gwardzistów wraz z zaimprovizowanym stolikiem. Shining jęknął, napinając się i uniósł to wszystko cał nad ziemię, a potem zaczął powoli ich obracać i przesuwac. To wyglądało cudownie i przerażająco zarazem. Cudownie, gdy patrzyło się, jak cała ta konstrukcja w postaci dwóch „ludzi” i stolika unosi się i przemieszcza, nie zmieniając położenia względem siebie. Ale gdy człowiek uświadamiał sobie, że w każdej chwili ci dwaj mogą się przebudzić, by nas zabić, to cały urok pryskał.

– Musisz mieć wielką przychylność duchów, skoro masz taką moc – powiedział z podziwem Trzy Pióra w Ogonie, obserwując uważnie wyczyn kapitana.

Shining nie odpowiedział, skupiając się na czarach. Zwłaszcza że dotarł do prawdopodobnie najtrudniejszego etapu. Powoli zaczął opuszczać gwardzistów wraz ze stolikiem, aż delikatnie osiedli na ziemi.

Ale nie dość delikatnie. Usłyszeliśmy przeszywające piski, golemychwyciły za miecze i ruszyły do ataku.

Moonbow podrzucił strzelbę do ramienia, ale nie zdążył wystrzelić, bo jeden z wojów skrócił dystans i zamachnął się na niego. Zapewne gdyby nie bariera wyczarowana przez Shininga, to skróciłby go o głowę.

Drugi strażnik zaatakował Trzy Pióra, który rozpaczliwie bronił się tomahawkim. Jak na kogoś, kto nigdy się nie fechtował, to szło mu znośnie. Choć potem Shining powiedział mi, że to wyglądało raczej jak *ostatnie podrygi zdychającej ostrzygi*.

Moonbow bronił się strzelbą jak kijem, przyjmując na łożę razy miecza i uderzając kolbą w głowę gwardzisty. Niestety bez większych efektów, przynajmniej jeśli chodzi o golemę, bo ze strzelby poleciały już drzazgi.

Na całe szczęście dla nas, Shining był świetnym magiem bojowym. Korzystając z tego, że golemę go nie zaatakowały, momentalnie przeanalizował sytuację, a następnie aktywował róg. Złapał telekinezą jednego z nich i cisnął nim w drugiego, powalając oba z hukiem. Moonbow wykorzystał okazję, wycelował i strzelił, trafiając jednego prosto w zadek.

Niestety przy strzale łożo jego strzelby rozpadło się kompletnie, a obity mieczem mechanizm zaciął się, nie pozwalając na oddanie kolejnego strzału. To jednak nie powstrzymało Zebroequestiańczyka, który wyciągnął spory nóż Bowie, gotów rzucić się do walki w zwarciu.

Nie zdążył jednak, bo Shining złapał jednego z kryształowych strażników w swoją telekinezę i zaczął nim tłuc o podłogę, aż roztrzaskał go w drobny mak. Trzy Pióra zniszczył kolejnego kilkoma celnymi uderzeniami wyszczerbionego już tomahawka.

– Możesz opuścić broń, chłopcze – powiedział Shining, spoglądając na mnie. Nawet nie wiem, kiedy ją wyciągnąłem. Zwłaszcza, że znów mi się do niczego nie przydała.

– Dziękuję przyjacielu – powiedział Moonbow. – To coś było bardzo szybkie.

– Świetlista istota była szybka jak wojownik Hyabusa – zgodził się Indianin. – Gdyby nie twoja siła, mielibyśmy problem. – Skłonił przed nim głowę z wdzięcznością.

– Bez was bym sobie nie poradził – odpowiedział z pokorą. – Swoją drogą, nie spodziewałem się, że Indianie umieją się fechtować – dodał, patrząc na Trzy Pióra.

– Fechtować? – powtórzył z dużymi trudnościami. – Co to znaczy?

– W zasadzie, to bardziej walka mieczem niż tomahawkiem. Atakowanie, odbijanie ciosów przeciwnika, robienie uników i blokowanie miecza – wyjaśnił Shining. Nie była to definicja słownikowa, ale ta pewnie by namieszała w głowie naszego towarzysza.

– Każdy mężczyzna w naszej wiosce uczy się walki tomahawkiem – odpowiedział Trzy Pióra. – A gdy moja matka była młoda, zaczęły się też uczyć nasze kobiety – dodał. – Żeby trafić przeciwnika trzeba wpierw samemu nie dać się trafić.

– Słusznie. Dobra, zobaczymy, co w tym skarbcu siedzi – powiedział dziarsko kapitan, ruszając w stronę drzwi.

Weszliśmy do skarbcza i raz jeszcze stanęliśmy jak wryci. Między nami, a główną komorą była solidna, kuta krata. A za kratą nie było nic. Ani jednego kryształu, klejnotu czy zamkniętej skrzyni. Nie było nawet okruchów na podłodze, o zwykłym kurzu nie wspominając. Zupełnie jakby ktoś wymiół cały skarbiec do czysta. Przecież to nie miało sensu.

– Pusto – stwierdził Shining. – Ale jak...

– To tu kryształowi ludzie mieli trzymać swoje skarby? – zapytał Trzy Pióra, kucając.

– Tak.

Indianin przetarł palcem podłogę, przyjrzał mu się, a następnie powąchał go. Nie wiem, czy kryształy pachną albo może czy jakaś magia pachnie, ale nie miałem zamiaru krytykować tropiciela.

– Dziwne miejsce – powiedział po chwili namysłu. – Mówiliście, że wasi bracia mieli stąd odejść dawno temu. Na górze chodzą golemy z kryształu, a tu wygląda, jakby ktoś posprzątał ledwie wczoraj.

– Wczoraj? – spytałem.

– Posprzątał? – dodał Moonbow.

– Na to wskazują ślady – odpowiedział bez emocji Trzy Pióra. – Kryształów nie ma, piasku nie ma, nic nie ma. Czysto.

– Shining, ty się pewnie uczyłeś. Jak się kiedyś składowało kryształy?

– Tego na lekcjach nie było, ale pewnie w drewnianych skrzyniach. Takich zwykłych jak do jabłek. Ewentualnie najprostszych z kiepskim zamkiem.

– Dlaczego w takich zwykłych? – spytałem. Zawsze wyobrażałem sobie, że klejnoty leżą w ozdobnych, ciężkich kufrach z metalowymi zawiasami i okuciami.

– Bo łatwiej takie nosić i taniej wyprodukować. A surowe kamienie szlachetne często nie są ładne jak oszlifowane klejnoty. Poza tym, jaki zamek ochroni zawartość skrzyni, której nie ochroni oddział wojska? Tak czy inaczej, nie spodziewałbym się, by ktokolwiek zmiatał podłogę w skarbcu. Tego się zwyczajnie nie robi. Bo i po co. Chyba że tak długo było tu pusto, że ktoś z nudów zaczął sprzątać.

– Jeśli dobrze widziałem w książce burmistrza, to klejnotów było sporo – wtrąciłem.

– Dziwne.

– To co teraz robimy? – spytał Moonbow. – Bo ta wiocha coraz mniej mi się podoba. Mam wrażenie, jakby coś tu na nas czyhało.

– Też czuję tu złe duchy. Wracajmy. Nie wystawiajmy ich cierpliwości na próbę. Większą niż dotychczas.

– A co ty myślisz, Pat? – zapytał Shining, wyrrywając mnie z rozmyślań. – O wiosce i pustym skarbcu?

Spojrzałem na niego zaskoczony. Nie spodziewałem się, że spyta mnie o zdanie w takiej sprawie. Przecież miałem być tylko kronikarzem. Przeżyć i opisać jego historię do książki. Oczywiście, odrobinę ubarwiając tu i tam.

Zastanowiłem się. Wiecie, że uwielbiam historię i potrafię sporo zrobić, by poznać szczegóły, którymi się z wami dzielę. Spędziłem kiedyś noc w jednym domu z Wredną Szóstką, przysiadłem się do stolika Buttona Kidda, a nawet byłem kiedyś

zakładnikiem, ale to zupełnie inne historie, które zresztą wydarzyły się później. Przyznam, że chciałem wtedy zgłębić tajemnice tego miejsca, ale jednocześnie obawiałem się tego, co nas tu jeszcze czeka w głębi wioski. Owszem, pogoń za bandytami mogła być niebezpieczna, ale przynajmniej wiedziałem jakiego typu jest to niebezpieczeństwo i jak go unikać. A to miejsce było dziwne.

– Chciałbym wiedzieć, co się tu stało. Ale przyznam, że trochę się boję – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Tu jest... dziwne.

– Mhm. Też mi się to miejsce nie podoba. Ale dotarliśmy aż tutaj, więc mimo wszystko chciałbym sprawdzić kopalnię. Jeśli będzie tam coś niebezpiecznego, zawrócimy. Obiecuję.

Przyjeliśmy to bez słowa sprzeciwu. Zresztą, kopalnia nie była przecież daleko, a mieliśmy wrażenie... a przynajmniej ja miałem, że widzieliśmy już wszystko, co ta wioska ma do zaoferowania i aż tak źle nie było.

Och, jakże się wtedy myliłem.

Mimo dość dokładnego przeszukania biura burmistrza, nie znaleźliśmy nic dziwnego (poza samym, kryształowym burmistrem). A może raczej, nie znaleźliśmy nic, co by wskazywało na to, dlaczego skarbiec jest pusty i wymieciony do czysta. Wprost przeciwnie. Dokumenty mówiły o dość obfitych zbiorach oraz o tym, że ostatni transport był miesiąc temu. Więc albo ktoś kłamał, albo to wcale nie był skarbiec. Może podpucha dla najeźdźców?

Tak czy inaczej, ruszyliśmy do kopalni, zahaczając po drodze o kuźnię. Tam na szczęście lub nie nic się nie zmieniło. Kowal dalej leżał rozbity tam, gdzie go zostawiliśmy. Pod paleniskiem ciągle płonął ogień, choć nie miał już kto do niego dorzucić drewna.

Za to w kopalni ukazał nam się kolejny, dziwny widok. Choć może nie tyle dziwny widok, ile dziwna scena. Nawet biorąc pod uwagę całe to dziwne miasteczko. W korytarzach pracowały dziesiątki górników, uderzając kilofami w ściany, przepychając wózki, niosąc jakieś belki i nawet nie wiem co jeszcze. A wszystko to w absolutnej ciszy. Nawet jednego zgrzytu czy brzęku. Do tego, nigdzie nie było widać nawet okruska kryształu. Nie było też żadnego urobku ani kurzu. Zupełnie jakby to był teatr, a nie kopalnia.

– Co tu się dzieje? – powiedział Shining, dosłownie gapiąc się na to wszystko. Zresztą, nie dziwię mu się. Na mnie to też robiło wrażenie. Przeróżające, a zarazem fascynujące. Prawie tak jak widok kojotów rozszarpujących stepową krowę.

– Nie podoba mi się to – dodał Moonbow, niepewnym głosem. Jego dłonie zacisnęły się na strzelbie, a raczej na jej resztkach.

– Co takiego wasi bracia uczynili duchom, że spotkał ich taki los?

– Też chciałbym to wiedzieć – odpowiedział Indianinowi Shining. – I mam dziwne przeczucie, że tam znajdziemy odpowiedź.

– Raczej śmierć – skwitował Trzy Pióra. – Lepiej stąd odejźmy. Zanim duchy zrobią z nami to samo co z tymi tu.

– A tak dobrze ci szło. Czyżby jednak wielki łowca nie był taki wielki? – spytał złośliwie Moonbow. – A może te Trzy Pióra są z kurczaka?

– Niektórym zbyt łatwo przychodzi mylenie rozwagi z tchórzostwem – warknął Indianin. – To pióra orłów. Do których pasowałyby pasiasty skalp.

– Tylko spróbuj, rudzielcu.

Już widziałem jak Shining aktywuje róg by, jak miałem nadzieję, rozdzielić walczących, ale wtedy Indianin zaczął drzeć, po czym wybuchnął niekontrolowanym śmiechem. Złapał się za brzuch i rechotał jak młodziak. A żeby było jeszcze ciekawiej, Moonbow też zaczął się śmiać.

– Rudzielcu – powiedział wreszcie Trzy Pióra, gdy już opanował śmiech. – Jeszcze nikt mnie tak nie nazwał. Bardzo zabawne. Nie będę miał ci za złe tego, co powiedziałaś. Wiem, że chcesz mnie przekonać, bym poszedł z wami.

Moonbow spojrział na niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Z opresji wyratował go Shining.

– Fakt, Moonbow potrafi być zabawny – powiedział, patrząc przy tym krzywo na przyjaciela. – Czasami za bardzo. Ale obiecuję, tylko wejdziemy do środka, zdobędziemy klejnot i być może dowiemy się, o co chodzi i zabieramy się stąd.

Ruszyliśmy powoli, gęsiego. Shining Armor pierwszy, za nim Trzy Pióra w Ogonie, potem ja i na końcu Moonbow. Szliśmy powoli, rozglądając się uważnie. Ściany tunelu wyglądały jak dość typowa kopalnia. Ostemplowane co kilkanaście stóp grubymi belkami. Między nimi ziemia, skały... ale nie widziałem klejnotów. No ale pewnie te, co były widoczne, dawno wybrano. Drogę oświetlały nam z rzadka rozmieszczone pochodnie. Tak samo dziwne, jak całe to miasteczko. Niby płonęły dobrym, małokopącym płomieniem, ale jak na nie patrzyłem, to wydawały się... sztuczne.

Przystanąłem i ostrożnie przysunąłem dłoń do jednej z nich. Blżej i blżej, aż trzymałem ją ledwie kilka cali od płomienia. Nie był gorący, ale nie był też zimny.

– Nie dotykaj – ostrzegł mnie, idący z tyłu Moonbow. – Kto wie, co się stanie.

– Nie dotykam – odpowiedziałem, ruszając za Trzema Piórami. – Po prostu ten ogień jest dziwny. Pewnie magiczny.

– Tak myślisz, chłopcze? – spytał z przodu Shining. – Mało prawdopodobne.

– Dlaczego? – zapytał Moonbow, uprzedzając mnie o dosłownie sekundę.

– Widziałem magiczne pochodnie oraz magiczne światła i wszystkie były z zakłębieniem światła, a nie iluzją płomienia – wyjaśnił. – Tak jest po prostu łatwiej.

– Aha.

Dotarliśmy do rozwidlenia. Jedna droga prowadziła dalej w głąb kopalni, gdzie kręciło się pełno kryształowych górników. Drugi korytarz był pusty i za chwilę kończył się grotą oświetloną przez pochodnie na ścianach i coś na środku. Z tej odległości nie mogłem dostrzec, co to jest.

Po krótkim namyśle Shining wybrał drugi tunel, który doprowadził nas do skalnej grotki. Była przepiękna. W słabym, drżącym świetle pochodni migotały refleksy setek kryształów w ścianach. Wyglądało to trochę jak gwiazdy skrzące się na firmamencie Luni. Aż dziwne, że nie było tu żadnego górnika, który by je wydobył. Sklepienie znajdowało się jakieś trzy stopy nad naszymi głowami i zdawało się być nienaturalnie gładką kopułą. Bez trudu dało się sięgnąć do niego z jakiegoś rusztowania.

– Witajcie.

Prawie podskoczyliśmy, słysząc głęboki męski głos dochodzący z prawej. Momentalnie spojrzeliśmy w tamtą stronę. Moonbow odruchowo uniósł strzelbę, a Trzy Pióra chwycił swój tomahawk, gotów do ataku.

Przy ścianie stał prosty, drewniany stół, otoczony kilkoma krzesłami i przykryty jakimś obrusem. Na stole stał świecznik z czterema zapalonymi świecami, dającymi zaskakująco dużo światła, dzbanek, filiżanki oraz taca z ciastem. Na jednym z krzeseł siedział mężczyzna w średnim wieku, ubrany w modny, kremowy surdut, który pasował mu do ciemnoszarej sierści. W ręku trzymał porcelanową filiżankę z czymś parującym. Wyglądał, jakby przybył tu prosto ze spotkania biznesowego i to chyba teleportem, bo na jego stroju nie było ani odrobiny brudu. A przecież byliśmy w kopalni.

– Przepraszam, nie chciałem wystraszyć – powiedział, uśmiechając się ciepło, jak kandydat na burmistrza przed wyborami.

– Drobiazg, panie... – odpowiedział Shining, a Moonbow opuścił strzelbę, ale jej nie schował. W sumie nie wiem, po co ją wyciągał. Niby udało mu się ją odblokować, ale dalej wyglądała, jakby miała mu eksplodować w dłoniach.

– Prawda, nie przedstawiłem się, kapitanie. Możecie mi mówić Ambros. Zapraszam do stołu, właśnie miałem zjeść drugie śniadanie.

Spojrzałem na niego zaskoczony, a potem na Shininga. Nie miał epoletów ani żadnych dystynkcji. W zasadzie nic nie wskazywało na to, że w ogóle jest żołnierzem. Był ubrany jak typowy mężczyzna z niedużego miasteczka. Brązowe spodnie, brązowa kamizelka i koszula w kratę. Co więcej, sam poprosił mnie, abym zwracał się do niego po prostu Shining, bez zbędnych formalności.– Zatem miło mi poznać, panie Ambros – powiedział kapitan, gdy razem z nim usiedliśmy do stołu. – Nazywam się Shining Armor, a to mój przyjaciel Moonbow, mój kronikarz Pat i Trzy Pióra w Ogonie, nasz przewodnik.

Przywitaliśmy się, gdy nas wymieniał.

– I faktycznie jestem kapitanem. Jak zgadłeś?

– Słyszałem o tobie, Shining Armorze – odpowiedział. – Jesteś dość sławny, muszę przyznać. Gentleman, bohater, podróżnik... Powiem nawet, że czytałem jedną z twoich książek. Tą o mroźnej północy. Była zaiste wciągająca.

– Dziękuję.

– Co tu robicie? – zapytał Ambros, zanim Shining zdążył coś więcej powiedzieć.

Przyznam, że coś mi w naszym nowym znajomym nie pasowało. Nawet nie chodziło o to, że siedział tu i jadł drugie śniadanie. Cały był taki... nie na miejscu. Czysty, schludny i spokojny. Jak jakiś bankier na obiedzie w restauracji. A w zasadzie nawet bardziej niż bankier. Na jego ubraniach nie było nawet jednego pyłku. Poza tym, miałem wrażenie, że ciągnęło od niego chłodem. Takim fizycznym. Siedząc przy nim, włosy na rękach stawały.

Zresztą nie tylko ja miałem wrażenie, że coś tu nie gra. Trzy Pióra zdawał się być spięty. Wyglądał trochę jak wilk przed skokiem. Z kolei Moonbow nalewał sobie herbaty z dzbanka jak gdyby nigdy nic, ale kątem oka zerkał na naszego gospodarza.

– Zabawna sprawa. Też chciałem cię o to spytać – zaśmiał się kapitan. Zaraz jednak udzielił odpowiedzi. – To jedna z moich podróży. Pewnie wiesz, że w tej wiosce były kiedyś kopalnie z bogatymi złożami najpiękniejszych kamieni szlachetnych. Postanowiłem więc przyjechać tu w nadziei, że znajdę kamień tak piękny, by móc go podarować ukochanej. Przy okazji liczyłem na dobry temat, na element książki. Ale nie spodziewałem się tu zobaczyć tego wszystkiego.

– Rozumiem. Brzmi romantycznie – powiedział, unikając tematu swojej obecności. – Wybranka twego serca z pewnością będzie zachwycona tak zdobytym prezentem. A i jest tu materiał na dobrą opowieść.

– Owszem, materiał na opowieść jest. Ale poza nim, niestety nie znalazłem tu nic – westchnął Shining. – Nawet nie tyle nic godnego Cadance, co po prostu nic. Żadnego kamienia szlachetnego. Nawet okrucha. Tylko te dziwne kryształowe istoty. Swoją drogą są niebezpieczne. Powinieneś uważać, a najlepiej stąd odejść.

– Są niebezpieczne tylko jeśli się im przeszkadza w pracy – odpowiedział uprzejmie Ambros, po czym upił delikatny łyk ze swojej filiżanki. – Jeśli się przechodzi obok, to są całkiem spokojni. Cisi, bezproblemowi... Idealni sąsiedzi, nieprawdaż? – zaśmiał się. – Powiedz, czy taki kamień byłby odpowiedni dla twojej ukochanej? – dodał, wyciągając ku naszemu zdziwieniu najprawdziwszy, różowy diament w kształcie serca. Tak duży, że ledwie mieścił mu się na jego sporej dłoni. A dłoń tą wyciągnął w stronę Shining Armora. – Proszę.

– Jest wspaniały – odpowiedział Shining, a jego oczy się zaświeciły. Już wyciągnął rękę, ale Moonbow złapał go za nadgarstek. – Co jest, Moon?

– Nie podoba mi się to – powiedział cicho, nachylając się do przyjaciela. – Ambros też. Siedzi sam w tej dziwnej wiosce, jak gdyby nigdy nic i ewidentnie coś ukrywa. Lepiej nie brać od niego tego kamienia. To może być pułapka.

– Zgadza się – powiedział Trzy Pióra. – Czasami dobroć serca podszyta jest niecnymi intencjami.

– Też mnie to zastanawia. – Shining spojrzał na Ambrosa, który odłożył klejnot na blat i wrócił do picia herbaty, patrząc na nich z zainteresowaniem. Ewidentnie wszystko słyszał, ale nie chciał im przeszkadzać. – Ale ten kamień jest piękny. Wręcz idealny.

– Dziękuję. Jest całkowicie bezpieczny, pozbawiony klątw. Przysięgam. I jest twój, Shining Armorze. Za darmo – powiedział Ambros, uśmiechając się znad krawędzi filiżanki. I im częściej w ten uśmiech patrzyłem, tym bardziej miałem wrażenie, że jest fałszywy.

– To ja dziękuję. Ale dlaczego?

– Dlaczego ci go daję? Ponieważ szukasz idealnego prezentu dla swojej ukochanej. A ja taki miałem, więc postanowiłem cię uszczęśliwić. Bo mogłem. Bo przysiedliście się do mnie i może dotrzymacie mi towarzystwa. Rzadko kiedy mam okazję spotkać kogoś z dużego miasta. A już zwłaszcza taką sławę.

– To miłe. Miłe i dziwne, siedzieć tak w wiosce nawiedzanej przez kryształowe golemy, które pracują bezgłośnie. Powiedz, skąd się tu wzięłeś?

– Przyszedłem – odpowiedział z rozbijającą szczerością. – I muszę przyznać, że było warto. Tu jest naprawdę pięknie. Widzicie te refleksy? Jak niebo pełne gwiazd. A to wszystko od zwykłego świecznika. Ech, powinienem był tu przynieść jakąś większą lampę.

Cóż, technicznie miał rację. Ta jaskinia była piękna, a słabe refleksy płomieni wyglądały trochę jak gwiazdy. Ale dalej, nie tłumaczyło, skąd się tu wziął. Skąd przyszedł i po co?

– Jak niebo w nocy – potwierdził Trzy Pióra. – W nocy pełnej duchów.

– No cóż, towarzystwo może trochę straszyć, ale zaręczam raz jeszcze, że jest bardzo spokojne. Nie będzie nam przeszkadzać – stwierdził Ambros. – Zresztą, widywałem dziwniejsze rzeczy.

– Cóż, też mi się zdarzało widywać różne rzeczy, ale nigdy taką – wtrącił Shining.

– Wiem – wtrącił Ambros, ale zaraz się cofnął. – Przepraszam, to mogło być nieuprzejme.

– Drobiazg. Chciałem zapytać jedynie, czy może masz jakieś podejrzenie, co tu się stało. Zastanawiamy się nad tym od początku.

– A czy to nie jest oczywiste? – zapytał nasz gospodarz, po czym odkroił widelczykiem kawałek ciasta i włożył sobie do ust. Ewidentnie zrobił to, by albo zbudować napięcie, albo podroczyć się z Shiningiem. Nic nie mogłem na to poradzić, więc sam wziąłem sobie kawałek ciasta. Był to bardzo dobry jablecznik. Taki przyjemnie chrupiący z wierzchu i kwaskowaty w środku.

– Cóż, wygląda na to, że nie – odpowiedział po chwili Shining. – Albo my czegoś nie dostrzegamy.

– Możliwe – odpowiedział po dłuższej chwili Ambros. – A tak z ciekawości, jakie jest wasze zdanie na ten temat? Pewnie macie jakieś teorie.

– Najpierw myślałem, że to iluzja, ale po tym jak jeden z nich nas zaatakował, stwierdziłem, że to prawdopodobnie klątwa – odpowiedział po namyśle Shining.

– Nie znam się na magii – powiedział Moonbow, patrząc podejrzliwie na Ambrosa. – Mam paski, a nie róg. Może to jest klątwa? A może komuś czar się wymknął spod kontroli?

– Złe duchy – stwierdził Indianin. – Mieszkańcy tej wioski musieli coś zrobić i złe duchy ich... zmieniły w istoty z kryształu?

– A ty, chłopcze? Co myślisz? – zapytał mnie, po dłuższej chwili ciszy.

– To pewnie faktycznie jakaś klątwa – odpowiedziałem po namyśle. – Jak w książce. Te... „cosie”, golemy, zachowują się, jakby to był zwykły dzień pracy. Przynajmniej póki im nie przerywaliśmy.

– Mhm – mruknął, mierząc nas wzrokiem. – Macie całkowitą rację, to jest klątwa.

Przyznam, zszokowało nas to. Przez cały czas pobytu w wiosce zastanawialiśmy się, co tu się stało. Dlaczego jest jak jest. Dobra, niby mieliśmy podejrzenia, ale brakowało dowodów. A on tak po prostu mówi, że mamy rację, a na wioskę spadła klątwa. Niby nie powinno nas już ruszyć, ale mimo to zostaliśmy zaskoczeni ponownie. A przynajmniej ja zostałem tym zaskoczony.

– Wiesz, co tu się stało? – zapytał Shining, przerywając przedłużającą się ciszę. Jego ton był chłodny i nieco... spięty. – Powiesz nam?

– Oczywiście. – Upił łyk herbaty i uśmiechnął się do nas jak dziadek, który za chwilę opowie swoim wnukom anegdotkę ze swojego dzieciństwa. – Te *istoty*, to faktycznie mieszkańcy tego miasteczka. Przekłęci setki lat temu. Ponieważ kopali zbyt głęboko. Tak głęboko, że dokopali się do czegoś, do czego z pewnością dokopać się nie powinni. I za karę zostali przemienieni w bezwolne golemy, które w ciszy będą wykonywać swoją pracę przez tysiąc lat.

– Naprawdę? Straszliwy los – powiedział zszokowany Shining. Zresztą my wszyscy byliśmy w szoku. Takie coś... – Chwila moment. Skąd znasz takie szczegóły? Nie znaleźliśmy żadnych wskazówek.

– Bo to ja rzuciłem na nich klątwę – przyznał, wprowadzając nas w jeszcze większy szok. – Nie sam, rzecz jasna, ale miałem w tym spory udział.

Pamiętam, że z otwartymi ustami gapiłem się na Ambrosę. Zresztą, nie tylko ja. Pozostali też pewnie trawili zasłyszana informację i próbowali jakoś połączyć to stwierdzenie ze stanem faktycznym. Po chwili Shining wybuchnął serdecznym, niekontrolowanym śmiechem. Co gorsza, udzieliło się to nam wszystkim i zaraz rechotaliśmy, choć nie do końca byłem jeszcze pewien z czego.

– Doskonały żart, Ambros. Gratuluję. Aż prawie ci uwierzyłem – pochwalił kapitan, gdy wreszcie opanował wybuch śmiechu na tyle, by móc mówić. – Nie wyglądasz na takiego żartownisia. Ta powaga, spokój... Moje gratulacje,abrałeś nas wszystkich.

– To nie był żart. – Ambros powiedział to tonem tak zimnym, że momentalnie przestaliśmy się śmiać. Tego już nie dało się kwestionować. – Mieszkałeś kiedyś nad kopalnią, kapitanie? – kontynuował, a w jego głosie słychać było gorycz. – Budzisz się nagle i słyszysz stukanie oskardów i zgrzyt wagoników. I tak cały dzień. A po nim kolejny i kolejny, i kolejny. Nie można się skupić na pracy, nie można się skupić na książce, na torturach, debatach politycznych, figlach z żoną... na niczym. Stuk, zgrzyt, trzask, skrzyp... dwanaście godzin dziennie. Oszaleć można. Postanowiliśmy coś z tym zrobić. Kulturalnie i uprzejmie zaproponowaliśmy waszym ziomkom złoto za koniec wydobywania i zawalenia kopalni. Dużo złota. Mamy swoje źródła, mogliśmy im dać dość, by zbudowali dom ze szczerego złota i jeszcze by im zostało. Ale ich przywódca nas wyśmiał. Powiedział, że nic ich nie przekona, będą kopać tysiąc lat i żebyśmy, cytując; poszli do diabła. Cóż, poszliśmy. Poszliśmy, rozmawialiśmy z nim i ustaliliśmy, że spełniliśmy życzenie ludzi. Co do joty.

Znów zapadła dziwna cisza. Mój umysł starał się jakoś poukładać to, co powiedział Ambros, ale wychodziło mi jedno, nielogiczne rozwiązanie. Tartaros istniał, a Ambros był najprawdziwszym demonem o wielkiej mocy i skłonnościach sadystycznych. A przecież on nie mógł być diabłem, czartem, czy jak to się nazywa. Przecież diabły nie istnieją, a Tartaros służy do straszenia dzieci. Poza tym, nie wyglądał na demona. Na bankiera albo sprzedawcę pianin owszem, ale nie na demona.

Cóż, przynajmniej wtedy tak myślałem. Bo przecież gdyby diabeł wyglądał jak diabeł, to nikt by mu nie zufała. Prawda?

– Chcesz powiedzieć, że... – zaczął nerwowo Shining, a jego dłoń powędrowała blisko kabury.

– Brawo, chłopcze – zaśmiał się Ambros. – Tak, jestem mieszkańcem Tartarusu. I nie, to NIE jest Tartaros – dodał, po czym cały stanął w zielonych płomieniach. Odskokczyliśmy instynktownie, a Shining, Moonbow i Trzy Pióra złapali za broń.

Gdy płomień opadł, stała przed nami istota, jakiej nigdy nie widziałem. Trochę podobna do znanego z legend minotaura. Tylko taki inny. Miał ponad siedem stóp wzrostu i chyba trzy stopy w barach oraz dobrze zbudowaną sylwetkę. Iście posagową. Na głowie miał dwa rogi wyrastające po bokach i przypominające te u największych Indian, ale bardziej zadbane, jakby ktoś mu je polerował. Do tego miał na sobie garnitur skrojony tak dobrze, jakby dopiero co odebrał go od najznamienitszego canterlockiego krawca. Co jednak dziwniejsze, w jego oczach widziałem tylko spokój. Spokój i... sympatię? Ciężko to nazwać, ale nie wyglądał, jakby chciał nas zaatakować. Raczej wprost przeciwnie.

– Zły duch – szepnął Trzy Pióra. – Bardzo zły duch.

– Tak też mnie nazywano – zaśmiał się Ambros, zaskakując nas ponownie. Miał szorstki głos, ale raczej nie przerażający. – Ale nie żywię do was urazy. Przywykłem. Ludzie zazwyczaj źle reagują na nasz widok.

– Znaczy, że to wszystko prawda – bąknął Moonbow. – Dusza istnieje.

– Co? Aaa te bzdury. – Demon machnął ręką i usiadł przy stole, jak gdyby nigdy nic. Przyznam, że przy jego wzroście wyglądał trochę komicznie. Coś jak dorosły w szkolnej ławce. – Myślisz, że skoro istnieją demony, a one przecież torturują przez wieczność dusze potępionych, to dusze istnieją. Cóż, zmartwię cię, ale nie. Dusze to wymysł, ale nie pamiętam już czyj. Pewnie wasz. Kiedyś mieliście ciągoty do metafizyki, ale chyba już wam przeszło. Tak czy inaczej, dusza nie istnieje. A przynajmniej nie ma dowodów, że istnieje. Zresztą, nawet gdyby istniała, to nic by nie zmieniło. Nie torturujemy dusz. Siadajcie, proszę. Chętnie z wami porozmawiam i opowiem co nieco o naszej małej krainie. Jak już wspomniałem, tak rzadko mam okazję porozmawiać z kimś z zewnątrz.

Usiadłem na skraju i wyciągnąłem swój dziennik, by to wszystko zapisać. Opisanie miasta post factum nie stanowiłoby problemu. Ale zanotowanie tego co się tu działo, było ważne. Bardzo ważne. Oczywiście w książkowej wersji wyprawy to wydarzenie zostało trochę zredagowane. Niezbyt mi się to podobało, ale nie miałem w tej kwestii wiele do gadania. Poza tym, jakby nie patrzeć, Ambros mógł kłamać co do duszy. W końcu był demonem.

– No co tak stoicie, przyjaciele. Siadajcie – zachęcił ich ponownie, po czym spojrzął na mnie i uśmiechnął się porozumiewawczo. – Ja naprawdę was nie ugryzę. Przysięgam.

Shining jednak nie drgnął. Wciąż wpatrywał się w Ambrosa, ewidentnie rozważając, czy to bezpiecznie siadać do jednego stołu z demonem. Jeśli zastanawiacie się, czy ja się tego nie obawiałem, to tak, trochę się bałem. Ale skoro to był potężny demon, to wkurzanie go albo ucieczka też niekoniecznie były rozsądne.

Niestety pozostali byli innego zdania.

Widziałem jak ciała Moonbowa i Trzy Pióra w Ogonie sztywnieją, szykując się do ataku. Za to Shining wyciągnął rewolwer i tak po prostu wymierzył w Ambrosa. Ten jednak nie wstał, a jedynie podniósł na niego swój wzrok. Przyznam, aż się wzdrygnąłem, widząc jego oczy. Wyglądał na spokojnego, ale w nich krył się ogień, potęgą.

– Odłóż tą zabawkę, zanim coś sobie zrobisz, kapitanie – powiedział tak chłodno, że aż mi sierść stanęła dęba.

– Zdejmij klątwę z mieszkańców i wracaj do siebie – warknął Shining, mierząc w jego głowę.

– To bardzo niekulturalne, mierzyć z broni do gospodarza – odpowiedział ze spokojem Ambros. Jednak to był taki spokój, od którego krew zamierała w żyłach. – Sugeruję ją schować i usiąść. Im już pan i tak nie pomoże, kapitanie. Poza tym, naprawdę uważa pan, że rozsądnie jest mnie atakować?

Shining odciągnął kurek.

Ambros spojrzął na niego z politowaniem. Jego rogi rozpalily się magią i w tym samym momencie Shinignowi obwisła lufa. Dosłownie, bo w przenośni to nie wiem. Ale lufa jego rewolweru po prostu zmiękla i obwisła jak świeca w upalny dzień. Przyznam, wyglądało to komicznie.

W odpowiedzi kapitan rozjarzył róg, ale momentalnie poleciał na ziemię, uderzony chyba jakąś kinetyczną falą. Nie wiem dokładnie, ale widziałem nikły blask na rogach Ambrosa.

Moonbow podrzucił resztki strzelby do ramienia, chcąc posłać demona do diabła, ale ten teleportował się do niego, wyrwał mu broń z rąk, a następnie trzasnął

go na odlew. Przez chwilę myślałem, że zabił go na miejscu, tak mu głowa odskoczyła, ale Moon nie tylko przeżył, ale nawet ustał na nogach. Tylko krwią splunął.

Nawet Ambros był tym zaskoczony, bo ledwie zdążył odskoczyć przed pięścią zebroquestriańczyka oraz toporkiem wkurzonego Indianina. Szybko jednak się otrząsnął i spróbował uderzyć w nich magią. Jednak Shining włączył się do bitwy, osłaniając ich potężną, magiczną barierą.

Schowałem się pod stół. Może i marna osłona, ale wystarczająca, by uniknąć rykoszetującej błyskawicy. Poza tym, ze swej perspektywy mogłem całkiem dobrze obserwować starcie. A było na co patrzeć.

Trzy Pióra zaatakował, skracając dystans i machając wściekle tomahawkiem. Wspierał go Shining, próbując trafić demona magicznymi pociskami. Ambros przeszedł do chwilowej defensywy, odskakując i teleportując się po kilka jardów. Wydawało się, że robi to z zaskakującą łatwością, jakby... się z nimi bawił.

Moonbow spojrzał na resztki strzelby, po czym wyciągnął wielki nóż Bowie i zaczął zachodzić demona z boku. Zachowywał jednak pewien dystans, pewnie na wypadek, gdyby przeciwnik postanowił się jakoś przemknąć.

Tymczasem broniący się Ambros dotarł do ściany. Rozejrzał się teatralnie na boki, a potem spojrzał na zbliżających się przeciwników. Widziałem, jak się wtedy uśmiechnął. Uchylił się przed ciosem Indianina, po czym złapał go za ramię i pchnął na skały. Wtedy z kamienia wychynęło kilkanaście kościstych łap i złapało Indianina, unieruchamiając go.

Trzy Pióra zaczął się szamotać, ale im mocniej próbował, tym więcej pojawiało się rąk, aż wreszcie nie miał już nawet cała swobody. Mógł tylko patrzeć i złorzeczyć w myślach. Ja również patrzyłem na to oniemiały. Nie spodziewałem się takiego obrotu spraw.

Shining i Moonbow znów zaatakowali, ale Ambros teleportował się między nich, po czym uderzył telekinetyczną falą, posyłając obu na ziemię. Od razu doskoczył do Moonbowa i chwycił go za kamizelkę. Nie zdążył jednak nic zrobić, bo kapitan posłał mu błyskawicę w plecy. Potężną.

Demon zawył, jak przystało na istotę z piekieł. Następnie teleportował się kilka stóp dalej i posłał w ich stronę kilka kul ognia

Shining zręcznie osłonił siebie i przyjaciela magiczną barierą, po czym sam zaatakował błyskawicą, trafiając prosto kulę, formującą się między rogami Ambrosa.

Potężna eksplozja zasnęła ciemną jaskinię tumanem dymu i pyłu.

Gdy kurz opadł, nie zobaczyliśmy nic. Ani dziury w ziemi, ani spalenizny, ani tym bardziej Ambrosa. A przynajmniej nie było go tam, gdzie powinien. Bo dosłownie

wyłonił się z cienia za plecami Moonbowa i pchnął go na najbliższą ścianę, gdzie chwyciły go takie same ręce jak Trzy Pióra. Następnie spojrzał na Shininga:

– Nieźle – przyznał, uśmiechając się złowieszczo. – Szczerze gratuluje umiejętności, kapitanie. To była naprawdę imponująca błyskawica, jak na śmiertelnika. Ta poprzednia również.

– Uwolnij moich przyjaciół i tych biednych ludzi – zażądał Shining. Wokół jego rogu jaśniało światło, świadczące, że szykował kolejne zaklęcia.

– Dlaczego tak bardzo ci zależy na tych górnikach? – westchnął Ambros. – Rozumiem troskę o przyjaciół, ale oni? Nie znałeś ich i nigdy byś nie poznał.

– Bo należy chronić ludzi przed takimi czarcimi pomiotami jak ty – warknął Shining, po czym uderzył błyskawicą. Ambros przechylił się na bok, a błyskawica przemknęła obok, tak po prostu.

– W Kanionie Węża też byłeś takim bohaterem?

Widziałem jak Shining zmarł na chwilę. Wystarczającą, by Ambros teleportował się za jego plecy i strzelił go dłonią w róg, po czym pchnął telekinezą na ścianę.

Czarne ręce wysunęły się, by go usidlić, ale Shining teleportował się i zaatakował raz jeszcze, znów w plecy. Nie trafił jednak, bo Ambros zrobił unik, po czym odpowiedział słupem ognia.

Walka rozgorzała ponownie. Obaj wymieniali między sobą czary i odskakiwali. Widziałem jak Shining się poci, a Ambros dalej wygląda na niewzruszonego. Jedyne jego garnitur zaczął nosić ślady walki.

– Kończmy to – westchnął nasz gospodarz, gdy kolejna błyskawica rozbiła się o jego magiczną barierę.

– To się poddaj – wysapał Shining. Może i miał wojskową zaprawę, ale ta walka i ta ilość zaklęć zaczynały mu dawać się we znaki.

Ambros wyrócił oczyma, po czym doskoczył do kapitana i zanim ten zdążył cokolwiek zrobić, trzasnął go w róg, blokując na chwilę magię. Następnie grzmotnął go w brzuch, pozbawiając tchu.

To był koniec. Zanim obity Shining zdołał się pozbierać, Ambros po prostu rzucił nim o ścianę, gdzie czarne ręce go spętały. Jedna nawet zacisnęła mu się na rogu, uniemożliwiając rzucanie zaklęć.

– No już, spokojnie, kapitanie – powiedział demon, podchodząc do niego. – Posiedzisz tak sobie, aż ochłoniesz. I proszę, nie bierzcie tego do siebie, naprawdę nie chciałem wam zrobić trwałej krzywdy. Po prostu nie lubię, jak ktoś mi grozi.

Trójka moich towarzyszy próbowała coś powiedzieć, ale czarne dłonie zatykały im usta.

Ambros tymczasem podszedł do stołu i nachylił się, by na mnie spojrzeć. Pewnie trzęsłem się ze strachu, bo uśmiechnął się do mnie, pewnie z zamiarem dodania mi otuchy czy coś. Wyszczzerzone zęby mu w tym nie pomagały.

– Wyjdź chłopcze. Nic ci nie zrobię. Przysięgam na... nie wiem, siedem kręgów piekiel? Zresztą, gdybym chciał, to przecież już dawno bym ci coś zrobił.

Niezbyt mnie przekonał, ale nie chciałem się stawiać komuś, kto właśnie unieszkodliwił kapitana pałacowej straży i nawet się nie spocił. Wyszedłem więc i stanąłem trzy kroki od niego.

– Proszę, wypuść nas – powiedziałem nerwowo.

– Może później, jak twoi przyjaciele trochę ochłoną. Są strasznie nerwowi – odpowiedział. – A tymczasem, może wrócimy do przerwanej herbaty? Chętnie bym porozmawiał z kimś o tym, co się u was dzieje. Tak rzadko mam okazję spotkać śmiertelników. A jeszcze rzadziej mam okazję na dłuższą rozmowę.

– Nie ufaj mu! – zawołał Shining, usiłując się wyrwać ze ściany. Ambros rozświetlił rogi i kolejna ręka zatkała mu usta. Zaskakująco delikatnie, a jednak skutecznie.

– Przyznaję, spodziewałem się mniej uprzedzeń od kapitana straży księżniczki Celestii. Trudno.

– Naprawdę jesteś demonem z Tartarusu? – zapytałem drżącym głosem. – Przepraszam, to chyba głupie pytanie – dodałem, widząc pełne politowania spojrzenie Ambrosa.

– Troszeczkę tak – przyznał, patrząc z odrobiną politowania. – Powiedz mi, co się tam na górze mówi o Tartarusie?

– Niewiele. Czasami ktoś tylko powie, że źli ludzie skończą w Tartarusie. Albo dzieci, które nie chcą jeść obiadu. Ale chyba nikt poważnie nie wierzy w wasze istnienie.

– A co ich tam ma czekać?

– Gotowanie w oleju, rozciąganie na takim wielkim łożu, wtaczanie głazu na górę przez wieczność, dźganie widłami, odcinanie części ciała... Raz nawet słyszałem, jak ktoś komuś groził, że skończy w Tartarusie i będzie tysiąc lat słuchał jodłowania.

– Dobrze, tego nie znałem – zaśmiał się. – Będę to musiał przedstawić radzie. Choć ostatnio mamy coraz mniej „ofiar”. Chyba trzeba będzie porozmawiać z Celestią.

– Celestia wie o waszym istnieniu? – wypaliłem zaskoczony.

– No oczywiście. Myślisz, że skąd się wzięło zsyłanie do Tartarusu wrogów Equestrii? – zaśmiał się. – Mamy u siebie Tireka, Chrysalis, Grogara, Gustava Grapha i wielu, wielu innych, którzy na przykład chcieli obalić monarchię. Poza tym, macie w tych swoich przepisach karę zesłania do Tartarusu. A przynajmniej kiedyś mieliście.

Przyznam, z tych, których wymienił, to słyszałem tylko o Grogarze. I faktycznie miał zostać pokonany przez same księżniczki i zesłany do Tartarusu. Więc jeśli naprawdę istniał, to może faktycznie znajdował się w Tartarusie, a Ambros nie kłamie. Co do przepisów, to sprawdziłem to później i rzeczywiście jest taka kara, ale ostatni raz zastosowano ją osiemdziesiąt trzy lata temu. Przynajmniej oficjalnie.

– Tak czy inaczej, od jakiegoś czasu wasza księżniczka nikogo nam nie wysłała. Chyba za bardzo polubiliście wieszanie – dodał, wyrwijając mnie z rozmyślań.

– Chyba tak – przyznałem niepewnie. Z jednej strony to dobrze, że nie było od dawna wielkiego zagrożenia dla Equestrii, ale z drugiej ilość ludzi powieszonych, zlinczowanych czy zabitych w pojedynkach jest niepokojąca.

– Powiedz mi, dlaczego akurat ty jesteś tu w roli kronikarza? Z tego co wiem, towarzyszył mu Cloverleaf.

– Miał mały wypadek. Akurat byłem w pobliżu i zdecydowałem się pomóc i go zastąpić – wyjaśniłem.

– Za opłatą?

– Emm... tak. Ale niewielką – przyznałem, drapiąc się za głowę. – Bardziej liczę na coś innego.

– Płatność w naturze? – zapytał Ambros, próbując się nie śmiać. – No no, nie spodziewałem się tego po młodym człowieku...

– Nie, nic z tych rzeczy – odpowiedziałem szybko, rumieniąc się przy tym.

Ambros zaśmiał się i mrugnął, wprawiając mnie w jeszcze większe zakłopotanie.

– Bardziej liczę na informacje i może jakieś polecenie. Do pracy w przyszłości.

– Informacje? Niech zgadnę, o siostrze Shining Armora?

– Tak. Skąd wiesz?

Shining zaczął się miotać po ścianie, ale ręce docisnęły go mocniej.

– Zgadłem. Powiedz, czemu ona cię tak interesuje? Zakochałeś się?

– Co? – zakrztusiłem się herbatą. – Nie. Znaczący jest ładna, ale... chodzi mi o to, że historia zazwyczaj pamięta o bohaterach, a nie tych, którzy byli po „drugiej stronie”. Sam nie słyszałem o większości tych zesłanych do Tartarusu. A o Starswirlu Brodatym czy Flashu Magnusie to wie chyba każdy w Equestrii. Poza tym, to jak działają, jest fantastyczne.

– Nie przeczę, te które nazywacie Wredną Szóstką, są dobre w byciu złymi – przyznał. – Owszem, to nie ta skala, co niektórzy, ale... Chętnie bym je poznał, choć wydaje mi się, że marne na to szanse.

– Dlaczego? – zapytałem, wyciągając mój notes na opowieści. – Nie trafią do Tartarusu?

– Jeśli zostaną złapane żywe i dostarczone Celestii to może trafią. Jeśli – podkreślił. – Ale z wyjątkiem Twilight Sparkle.

– Dlaczego?

– Naprawdę wierzysz, że Celestia przyśle nam kogoś tak inteligentnego i przebiegłego jak jej była uczennica? Wątpię. – Zaśmiał się, a ja próbowałem powstrzymać szok. Wtedy wiedziałem tyle, że Twilight odebrała porządne wykształcenie, zanim została szeryfem, a potem bandytką, ale nie, że była uczennicą samej księżniczki. Jak się dużo później dowiedziałem, Twilight nie była dosłownie uczennicą księżniczki, ale uczyła się w szkole dla wybitnie uzdolnionych, w Canterlocie. Przynajmniej dopóki nie zniknęła z nieznanymi powodami.

– Myślę, że Celestia sfinguje jej egzekucję i zamknie gdzieś, by Twilight Sparkle przez resztę życia opracowywała zaklęcia albo jakąś broń. Szkoda przecież marnować taki umysł.

– Celestia...

– Nie zrobiłaby czegoś takiego? Proszę cię, chłopcze. Celestia i Luna rządzą nieprzerwanie od wielu setek lat. Myślisz, że nie robiły gorszych rzeczy, by utrzymać się u władzy? Uwierz mi, one zasługują na miejsce u nas nawet bardziej niż nie jeden, którego nam przysłały.

– Naprawdę? – spytałem z niedowierzaniem. Przecież nasze księżniczki były raczej dobre i... no dobra, były w historii wojny i niewolnictwo, ale ogólnie wydaje mi się, że księżniczki dobrze rządzą. – A co robiły?

– O to chłopcze musisz je sam zapytać – uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo. – Ja nie zdradzam cudzych sekretów. Zbyt często. Mogę jedynie szepnąć ci, byś zapytał o Stygiana. A raczej o to, co się z nim naprawdę stało. Ale coś mi się zdaje, że raczej ci nie powiedzą.

Zanotowałem to sobie. Aczkolwiek, muszę z bólem przyznać, że nie miałem okazji zapytać o to księżniczek. Nie znalazłem też zbyt wielu informacji na jego temat.

Tyle, że był obiecującym uczniem Starswirla Brodatego i miał śmiertelny wypadek podczas opracowywania jakiegoś zaklęcia.

– Jak na demona, jesteś dość uprzejmy i kulturalny.

– A dziękuję, dziękuję. Musimy zachować pewne standardy. Żebyście łatwiej nam zaufali – zaśmiał się.

– Aha, czyli jesteście wśród nas i nam „doradzacie” – powiedziałem triumfalnie, na co Ambros zaśmiał się, po czym otarł łzę.

– Wiesz, nawet nie będę zaprzeczał. I tak byś mi nie uwierzył. Owszem, kilku „naszych” jest w waszym świecie, ale nie wiem, czy komukolwiek specjalnie doradzają jak być niecnym. Świetnie sobie radzicie i bez naszej pomocy. Opowiedz mi, jeśli wiesz, jak działają paromobile – zmienił temat. – Słyszałem o nich jakiś czas temu i nie mogę przestać o nich myśleć.

– Naprawdę? – zdziwiłem się.

– Owszem. Powiedz mi, jak one działają.

– Eee... – podrapałem się nerwowo za głowę. – Nie znam szczegółów technicznych. Z tego co wiem, to jest kocioł z wodą. Coś jak czajnik...

– Wiem, jak działa czajnik i co to jest para – przerwał, choć bez irytacji. – Akurat o ogniu, dymie i parze wiemy bardzo dużo. Powiedz, jak ta para porusza pojazd.

– Wybacz. Chodzi o to, że jest kocioł, pod którym jest palenisko. W kotle wytwarza się para pod wysokim ciśnieniem, która następnie trafia rurami do cylindra. A w zasadzie kilku cylindrów w silniku...

Zacząłem mu opowiadać, a on słuchał jak urzeczony. Nawet mimo tego, że niewiele o tym wiem. Może nadrobiłem to kilkoma anegdotami zasłyszanyimi podczas zbierania informacji o różnych bandytach (głównie Wrednej Szóstce), a może po prostu zaspokoilem jego ciekawość. Później opowiedziałem mu o pociągach, a następnie jedną z przygód Wrednej Szóstki. Tę, w której napadły na pociąg i wysadziły lokomotywę. Podobała mu się.

Z kolei on podzielił się ze mną kilkoma anegdotkami z Tartarusu, oraz historią czarnoksiężnika zwanego Pink Screamerem. Przez dwa R na końcu. Jeszcze nie udało mi się jej zweryfikować, ale jeśli Ambros nie kłamał, to może być prawdziwa bomba. Poza tym zasugerował, bym wybrał się na wycieczkę do Sire's Hollow.

Moja rozmowa z Ambrosem trwała chyba kilka godzin. Ciężko stwierdzić, będąc w jaskini, ale rozmawiało się całkiem przyjemnie i po czasie nawet swobodnie. Niestety w pewnym momencie Ambros stwierdził, że zrobiło się późno i pora się pożegnać. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, aktywował rogi i teleportował nas przed bramę. Tak po prostu.

Żeby było jeszcze dziwniej, słońce było w tym samym położeniu, co wtedy, gdy wchodziliśmy do wioski. Zupełnie jakby minęła ledwie minuta. Nigdzie za to nie było patykówilków. Owszem, nieopodal były świeże tropy, ale to tyle. Nic nam nie groziło.

Spojrzeliliśmy po sobie z niedowierzaniem. Miałem wtedy pewną wątpliwość, czy to, co wam właśnie opowiedziałem, wydarzyło się naprawdę. Inni pewnie też, ale rozwiął je widok połamanej strzelby Moonbowa i leżącego obok różowego diamentu w kształcie serca oraz puchnące sińce moich towarzyszy.

– To było dziwne – stwierdził wreszcie Shining, przerywając ciszę. Następnie spróbował się podnieść, ale zaraz usiadł, jęcząc z bólu.

– Nic ci nie jest? – zapytał Moonbow, który sam nie wyglądał najlepiej. Potargana sierść, siniejące limo pod okiem i pewnie coś jeszcze, co skrywa pod ubraniem.

– Przeżyję. A ty, przyjacielu?

– Bywało gorzej. A co z tobą, Trzy Pióra?

– Ostatni raz prowadzę kogoś tutaj – burknął, podnosząc się z ziemi. Albo oberwał najmniej, albo najlepiej się trzymał.

– No dobrze, zabierajmy się stąd – zarządził Shining, po czym spojrzał na kamień i zamarł, zastanawiając się, czy go wziąć. Z rozterki wyrwał go Moonbow, który zwyczajnie podniósł klejnot i schował do kieszeni.

– Dam ci go, jak się namyślisz. A jak nie, to sprzedam na bazarze – dodał zartem. – Na jakąś dobrą whisky pewnie starczy.

Trzy Pióra ruszył przodem, uważnie jak poprzednio. Chyba był na nas obrażony, bo wysforował się naprzód i nawet nie oglądał, czy idziemy za nim. Później w wiosce też nie był zbyt rozmowny, ale przynajmniej nie chciał żadnej dopłaty za trudne warunki pracy. Może nie wiedział, że może czegoś takiego zażądać.

Shining szedł kawałek za nim, ja obok, a na końcu Moonbow, smętnie trzymając w rękach resztki swojej strzelby. Zastanawiałem się, czy ucierpiała bardziej niż jego godność.

– Co się wydarzyło w Kanionie Węża? – zapytałem.

– Nic – burknął skwaszony Shining. – Ambros zmyślał, żeby namieszać ci w głowie. Będę musiał o tym donieść księżniczkom.

– Ambros mówił, że księżniczki wiedzą o Tartarosie i tej wiosce – przypomniał Moonbow.

– Pewnie też kłamał. Przynajmniej częściowo. Nie zdziwiłbym się, gdyby księżniczki wiedziały o istnieniu Tartarosu, ale nie o tym, co się stało we wiosce. Czytałem o Grogarze w starych księgach. Był potworem, który chciał zniewolić wszystkich w Equestrii i przejąć ich magię. I księżniczki go pokonały. Nie zdziwiłbym się więc, gdyby zesłały go do tego całego Tartarosu na wieczność. Ale to jeszcze nie dowodzi, że wiedziały o tej „klątwie”.

– Nie widzę powodów, by miał kłamać – powiedziałem ostrożnie.

– Może chciał ci namieszać w głowie. Zasiać wątpliwość co do księżniczek. Wiesz, jeśli zbyt wielu zacznie kwestionować ich zdanie, to ktoś w końcu może zdecydować się na zamach stanu.

– Aha – mruknąłem nieprzekonany. Owszem, nie miałem żadnych dowodów, ale po prostu czułem, że Ambros mówił prawdę. A przynajmniej nie całkiem się z nią mijał.

– Pat, miałbym małą prośbę. Bardzo uprzejmą – powiedział Shining, a ja nadstawiłem uszu, czując, że to propozycja nie do odrzucenia. – Mógłbyś trochę poprawić moją walkę z Ambrosem? Może, żeby mnie tak szybko nie obił?

– A opowiesz mi o swojej siostrze? – odpowiedziałem.

Shining odwrócił głowę, patrząc na mnie z grymasem, od którego usychałyby pobliskie rośliny. Moonbow zachichotał, zasłaniając dłonią usta.

– Wiesz, że Cloverleaf i tak to sprawdzi i poprawi to, co napisałeś? – burknął.

Przez moment miałem ochotę go zaszantażować. W końcu odpowiednio wypuszczona w Canterlocie opowieść może sporo namieszać. Ale z drugiej strony, nie chciałem sobie robić wroga z kapitanem pałacowej straży i może przyszłego księcia. Poza tym jeszcze nie byłem dorosły, więc postanowiłem uderzyć w inne tony.

– Proszę. Krótki wywiad, nic więcej. Uwielbiam takie historie i szczegóły, a nie będę ukrywał, Twilight jest sławna. Chciałbym się dowiedzieć, jak zaczęła. Zrozumieć, czemu jest, kim jest – poprosiłem, uśmiechając się przy tym. Miałem taki uśmiech, który pomagał mi wyciągać informacje. Do dziś działa.

Shining westchnął zrezygnowany.

– Dobrze, jutro rano ci co nieco opowiem. – I tej obietnicy dotrzymał, choć mógł powiedzieć więcej.

Dalszą drogę do wioski Indian przebyliśmy w milczeniu. Tam z kolei zobaczyłem, jak Moonbow tłumaczył Trzem Piórom, czemu Shining ma taki stosunek do swojej siostry. Przysłuchiwałem się temu przez chwilę, ale gdy okazało się, że nie

padło nic nowego, odpuściłem, po czym usiadłem pod ścianą, obserwując gwiazdy. Noc była ciepła, wokół cykały świerszcze i nawet nie zauważyłem, kiedy zasnąłem.

Obudzili mnie dopiero rano. Oczywiście, od spania na siedząco, na dworze byłem cały obolały i czułem się paskudnie, ale szaman napoił mnie jakimś nawet smacznym wywarem i w mig mi było lepiej. Po śniadaniu poszliśmy na pociąg i wróciliśmy do Canterlotu. A tam... cóż, spędziłem tydzień z Cloverleafem, pracując nad przygotowaniem tekstu, który może nie okazał się najlepszą „wyprawą”, ale podobno jest ciepło wspomniany.

A potem? Cóż, wróciłem do śledzenia przygód wszelkiej maści bandytów.

Właśnie tak było. Nie zmyślam. Gdybym sam nie uczestniczył w tej wyprawie, pewnie tak jak wy bym nie uwierzył w tą opowieść. Bo przecież demony to tylko bajki do straszenia dzieci, prawda? A tu się okazuje, że w tych opowieściach jest ziarno prawdy. Może nawet tu na tej sali jest ktoś z Tartarusu, przysłuchując się mojej opowieści w przerwie od... knucia czegoś niecnego?

Tego się akurat nie dowiemy.

Ale jeśli chodzi o Shininga, to po krótkim namyśle wziął ten klejnot od Moonbowa i ofiarował księżniczce Cadance. Oczywiście wcześniej sprawdził na wszelkie możliwe sposoby, czy aby diament nie jest przeklęty. Ślub odbył się pół roku później. Pośród gości zabrakło siostry pana młodego. Pewności nie mam, ale wydaje mi się, że nawet nie wysłał jej zaproszenia. W przeciwnym razie niewątpliwie by się zjawiała i zadbała, by impreza była niezapomniana. Niezależnie ile straży by wystawiono.

Ja w sumie też nie dostałem zaproszenia, ale nie mam żalu. Byłem tylko tymczasowym kronikarzem i raczej średnio bym pasował do Canterlockiej elity. Poza tym, do dziś nie kupiłem sobie fraka.

Trzy Pióra w Ogonie posłał swoją córkę na studia. Nie miała tam lekko, jak się pewnie domyślacie. Wydaje mi się, że mogła być pierwszą Indianką na jakiegokolwiek uczelni w całej Equestrii. A przynajmniej jedną z pierwszych. Nie wiem, czy skończyła naukę, ale mówiąc szczerze, życzę jej jak najlepiej. Wydawała się całkiem miłą osobą. Poza tym myślę, że pora na pewną zmianę w tej materii. Jakby nie patrzeć, żyjemy na tej samej ziemi od setek lat.

A jeśli chodzi o tamtą wioskę, to z tego co wiem, księżniczki nie zdecydowały się tam „wrócić”. Może to z powodu klątwy, a może odwiedził je jakiś znajomy Ambrosa? Tego pewnie też się nie dowiemy.

Ciągle zastanawia mnie jednak jedna rzecz. Ile tak naprawdę księżniczki wiedziały o wiosce i klątwie? Ile wiedziały o Tartarosie? I dlaczego tak mało powiedziały Shinigowi, skoro z premedytacją wysłały go w takie miejsce?

Mam wprawdzie pewną teorię, ale to tylko teoria. Otóż, wydaje mi się, że księżniczki wiedziały o wszystkim. O klątwie, udziale Tartarosu i patykowilkach. Wysłały Shining Armora, by sprawdził, czy klątwą jeszcze (się) trzyma i czy jest sens tam po coś wracać. Jednocześnie ostrzegły Tartaros o jego wizycie, by nie wyniknęło coś nieprzyjemnego, jak śmierć kapitana straży i przyszłego małżonka księżniczki Cadance. Bo jak inaczej wyjaśnić to, że Ambros czekał tam na nas, oraz to, że choć miał możliwości, by zniszczyć Shininga, nie zrobił tego? Albo – dlaczego nie porwał nas wszystkich do Tartarosu?

Niestety tego się pewnie nigdy nie dowiem. A nawet gdyby, to pewnie i tak bym nie mógł tego nikomu opowiedzieć (poza tym, kto by mi uwierzył). Mogę wam za to bez przeszkód opowiadać o Wrednej Szóstce i obiecuję następnym razem przygotować coś właśnie o nich. Zwłaszcza, że mam dość ciekawy materiał.